Nr. 9 We Lwowie, 1 lipca 1935 Rok 57



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO i 16-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Toki naszych bekasów

(Dokończenie)

Toki kszyków rozpoczynają się wczesną wiosną, pomiędzy 15 marca, a 1 kwietnia w zależności od intensywności ciepłych podmuchów aury i trwają do połowy czerwca. W tym czasie słyszeć można codziennie grę tych ptaków, zwłaszcza od godziny 15—16 do 9—10 rano, z przerwą około północy i drobniejszemi pauzami w innym czasie, kiedy to samiec zapada na żer, lub odpoczywa.

Od bardzo dawna przyrodnicy i myśliwi dążą do wyjaśnienia, w jaki sposób powstaje dźwięk, wydawany przez tokującego kszyka. Bowiem to powszechnie znane beczenie nie jest głosem, pochodzącym z krtani ptaka, lecz wytwarza się naskutek drgania usztywnionych w czasie tokowego opadania krzyka piór ogona, czyli sterówek, rozpostartych wtedy wachlarzowato, czy też jest wytworem wibracji lotek skrzydłowych, które w czasie ześlizgu powietrznego bekasa są bardzo szeroko rozpięte i wyprężone. W każdym razie instrumentem, wydającym ten donośny bek są pióra kszyka, który spadając z ogromną szybkością w dół, tworzy silny prąd powietrza, powodujący wibrację lotek, czy sterówek, rodzących tokową melodję tego ptaka.

W numerze 15 „Łowca" lwowskiego z roku 1932 p. Artur Groetschel opisuje swe ciekawe spostrzeżenia, dotyczące lotu tokowego kszyka, a przedewszystkiem niezwykłe zachowanie się jednego z tych ptaków. „W momencie, pisze p. Groetschel, gdy ptak osiągnął najwyższy punkt wzlotu w górę — zamiast opuścić się skosem w dół, jak to czyni zwykle, gwałtownym rzutem obrócił się o 180 stopni, tak, że brzuch i pierś do sklepienia niebios, a grzbiet ku ziemi ukosem skierował i trzymając całe ciało w napiętej pozycji, spadł kilkanaście metrów w dół z wyprężonemi skrzydłami, nie wydając przy tem żadnego tonu. Tak bawił się ten mistrz lotu przez dłuższy czas, powtarzając gwałtowne spady w dół raz w pozycji zwykłej, a wtedy zawsze z „bekaniem" — to znów w wyżej opisanej, z rozpostartemi nieruchomo skrzydłami, przyczem nie wydawał żadnego głosu".

W dalszym ciągu swego interesującego artykułu p. Groetschel czyni słuszne przypuszczenie, że melodja tokowa kszyka jest wytworem przedewszystkiem skrzydeł ptaka: „Przy spadaniu normalnem w dół, wskutek gwałtownego lotu i wibracji lotek szybko poruszanych skrzydeł, słychać charakterystyczne „beczenie" w pozycji zaś odwróconej, gdy skrzydła ptaka są sztywnie napięte i nie wykonują żadnego ruchu, słychać bezsprzecznie w bliskiej odległości od szybującego ptaka, pewien szum, lecz niepodobna słyszeć charakterystycznego dla kszyka beczenia, gdyż nieporuszane skrzydła nie mogą dać tonu przerywanego. Zresztą działanie akustyczne musi

być odmienne, zależnie od tego, czy gwałtowny prąd powietrza uderza na pokrywy skrzydeł, od góry — czy też pod spód skrzydeł, gdyż nietylko forma skrzydeł, ale i ułożenie poszczególnych piór w skrzydle z obu stron jest różne".

W grze tokowej kszyka niepoślednią rolę odgrywają i sterówki. Obserwując bowiem uważnie podniebne ewolucje wiosenne tego ptaka, zauważymy, że w czasie ukośnego opadania, podczas którego rozlega się właśnie beczenie, pióra ogonowe, ułożone zazwyczaj w kształcie ostro zakończonego stożka — rozwijają się szeroko, przybierając formę rozpiętego wachlarzyka. Z chwilą jednak, gdy ptak skończył ześlizg tokowy, sterówki powracają natychmiast do stożkowatego układu. Trudno jest oczywiście powiedzieć, czy sterówki ułożone wachlarzowato w czasie opadania ptaka przyczyniają się także do powstania beczącego dźwięku, czy też może służą jedynie do hamowania szybkości, z jaką kszyk spada w dół. W każdym razie stwierdzić należy, że bekas korzysta z nich zawsze, ilekroć wykonuje swe mistrzowskie ześlizgi, połączone z grą.

Drżące beczenie kszyka jest najgłośniejszą melodją tokową z pośród tych, jakie wydają nasze bekasy na wiosnę. Ciąg słonki, lub klaskanie dubelta słyszeć się daje tylko z bardzo nieznacznej odległości, przy najpomyślniejszych warunkach akustycznych nie przekraczające w najlepszym razie 150 kroków. Inaczej jest natomiast z grą kszyka, która w ciche wieczory lub poranki rozchodzi się daleko i może być wyraźnie słyszana o kilometr, albo nawet i dalej. Dlatego też ten gatunek bekasów jest najbardziej popularny i najlepiej znany szerokim sferom mieszkańców, zarówno wsi, jak i miast.

Pierwszy tok kszyka, zasłyszany wczesną wiosną, gdy głosy przyrody są jeszcze bardzo nieliczne, wywiera na człowieku głębokie wrażenie. Jakaś niewytłumaczona radość zalewa serce, że oto nadeszła znowu czarodziejska chwila odrodzenia natury, w której wszystko, co żyje cieszy się i kocha. Uczucia, które w tym okresie podbijają dusze ludzkie są trudne do określenia, łączą bowiem w sobie jakąś dziwną tęsknotę, jakieś szczere wzruszenie z uczuciem radości i szczęścia, a są tak potężne, jak żadne inne, doznawane w innych porach roku. Dlatego też z prawdziwą przyjemnością słucha się wiosną melodyjnego grania kszyków nad mokradłami, choćby się nawet nie mogło obserwować ich mistrzowskich lotów podniebnych. Jest ono bowiem pierwszym hejnałem zwycięstwa nad pokonaną zimą, jest zwiastunem zbliżających się rozkoszy łowieckich i dlatego milej brzmi dla ucha myśliwego od krzyku czajki, czy trelów skowronka, gdyż te rozlegają się dla łowca zbyt wcześnie.

W tokach kszyków, podobnie jak na ciągu słonek bierze udział przeważnie para ptaków, to znaczy samiec i samica, gdyż ptaki te dzielą tereny na rejony, w których niechętnie widzą obcego przybysza. Walki kszyków zdarzają się jednak bardzo często, podczas których gonią się one i dziobią, powtarzając niezliczoną ilość razy swój okrzyk: „tiket-tiket-tiket". Jeżeli znajdziemy się nad brzegiem rozległego moczaru w wieczór, czy ranek wiosenny — usłyszymy kilka, lub nawet kilkanaście grających naraz kszyków, przyczem każdy z nich trzyma się innej partji błota, nie zbliżając się zbytnio ku sąsiadowi. Zaznaczyć także muszę, iż najczęściej warczenie każdego samca brzmi z innego tonu, lub przynajmniej posiada inny odcień muzyczny. Dlatego też zgodny koncert kszyków, rozlegający się w ciszy przedświtu, czy martwocie zmierzchu jest mojem zdaniem najpiękniejszą symfonją wiosennej przyrody.

Tok ostatniego, a zarazem najmniejszego z naszych długodziobów — b e k a s i k a (Limnocryptes gallinula), zwanego inaczej ficlauzem, ogromnej większości polskich myśliwych jest zupełnie nieznany, a to z tej prostej przyczyny, że bekasik jest ptakiem przelotnym, lęgnącym się i mieszkającym na północ od Dźwiny. U nas najobficiej występuje w czasie wędrówek jesiennych i wiosennych, gnieździ się zaś wyłącznie na ziemiach naszych, północno-wschodnich i to bardzo rzadko. Lęgowiska jego spotykane były w okolicach Puszczy Nalibockiej, ja zaś obserwowałem tokującego bekasika i znalazłem jego gniazdo w pow. mołodeczańskim woj. wileńskiego.

Tokowiskiem i miejscem lęgowem ficlauza są rozległe, trawiaste moczary, położone zdala od siedzib ludzkich, wśród lasów, lub mszarów. Są to najczęściej dzikie łąki, pokryte kępami wysokiej, ostrej trawy, pomiędzy którą szkli się woda o rdzawym połysku. Bujnie rozkrzewione pędy osoki błotnej, pokrywającej duże połacie mokradła i duszącej wszelką inną roślinność bagienną — stanowią ulubioną ostoję tego bekasa. W takiej okolicy, w ciągu kwietnia i w pierwszej połowie maja samce odbywają swe toki.

Lot tokowy bekasika przypomina zupełnie grę wiosenną jego kuzyna samca-kszyka. Podobnie jak tamten, tokuje on zazwyczaj samotnie, wobec jednej tylko samicy. Wczesnym rankiem, najczęściej przed wschodem słońca, lub bezpośrednio po jego zachodzie, wzlatuje ficlauz kilka metrów nad błoto, a potem chwiejnym lotem opada łukowato, wydając dźwięk, podobny do warczenia kszyka, w tonie jednak znacznie niższym. Głos ten brzmi jak szybko wymawiane: „teket-teket-teket". Opadłszy prawie do poziomu wierzchołków traw — ptak ponownie wznosi się ku górze, by za chwilę spłynąć znowu w dół. Ma to miejsce kilkanaście razy z rzędu. Dźwięki, wydawane przez bekasika są prawdopodobnie także nie pieśnią, a grą tokową, gdyż rozlegają się jedynie w chwili opadania ptaka. Ponieważ dotychczas zaledwie dwukrotnie miałem sposobność obserwowania lotu tokowego tego długodzioba — przeto nie mogę stanowczo twierdzić, czy słyszany głos pochodzi z krtani ptaka, czy też jest wytworem lotek, lub sterówek. Sądząc jednak z zachowania się samca, przypominającego bardzo grę kszyka — przypuszczam, że dźwięk ów powstaje w takiż sposób, jak i u tego ostatniego.

Melodja tokowa bekasika brzmi znacznie krócej, niż warczenie jego muzykalnego kuzyna i nie jest tak głośna. Wyraźnie słychać ją zaledwie z odległości dwustu kroków i to przy panującej ciszy. W dni wietrzne dystans ten jeszcze się bardziej zmniejsza. Natomiast grający ptak łatwy jest do zauważenia, gdyż nie wzbija się nigdy tak wysoko w powietrze, jak to zwykle czyni kszyk, a ewolucje swe wykonuje stosunkowo nisko nad poziomem mokradła.

Jak widać z powyższych opisów, wszystkie cztery gatunki naszych bekasów hołdują wielożeństwu, czyli poli-

gamji, przyczem dubelt jest najzagorzalszym jej zwolennikiem, gdyż na toku zarówno samiec, jak i samica zmieniają małżonków kilkakrotnie w ciągu jednego ranka, a u potomstwa pomięszanie krwi jest zupełne, bo pochodzi ono nierzadko od kilkunastu ojców. Nie spotyka się u dubeltów najmniejszego przywiązania małżeńskiego, czy innych pokrewnych uczuć. Poza krótkotrwałemi zalotami, poprzedzającemi chwilowy stosunek płciowy, ani samiec, ani samica nie okazują żadnego zainteresowania się osobnikiem odmiennej płci, a tok jest tylko zwyczajnem zaspokojeniem rozbudzonego pożądania zmysłowego i koniecznością zadośćuczynienia instynktowi zachowania gatunku.

Jeżeli chodzi o „moralność" słonek, to pędzą one także żywot bardzo swobodny, a małżonkowie zdradzają siebie wzajemnie przy każdej sposobności. Nie spotyka się jednak u nich tak strasznie rozwielmożnionego wiarołomstwa, jak u dubeltów, lecz z tej tylko przyczyny, że w ciągu nie bierze nigdy udziału tyle ptaków, ile ich się gromadzi na dubelciem tokowisku, a przez to i okazje do zdrady trafiają się rzadziej. W okolicach, gdzie słonek jest niewiele, siłą rzeczy samiec współżyje z jedną tylko samicą, aż do chwili, gdy ta ostatnia przystąpi do wylęgiwania zniesionych jaj. Wówczas już opuszcza ją i pędzi odtąd żywot pustelniczy w najdzikszych partjach błot leśnych. Współżycie to jest jednak bardzo luźne i polega jedynie na tem, że para ptaków przebywa i żeruje w pobliżu siebie, a także wspólnie odbywa lot ciągowy.

Z grupy naszych bekasów, obyczaje kszyka i ficlauza najbardziej są zbliżone do ptaków, żyjących w monogamji. Bekasy te przebywają bowiem zazwyczaj parami w różnych częściach mokradeł, podzielonych na rejony poszczególnych par, jednak te pozorne małżeństwa nie są bynajmniej trwałe i wiarołomstwo zdarza się bardzo często. Pomimo to są pewne pozory życia rodzinnego, gdyż samce biesiadują w ciągu całej wiosny w bliskości swych wybranek, a gdy te siedzą już na jajach — małżonkowie umilają im i sobie chwile grą tokową. Jednak w wylęganiu jaj, jak również i w wychowywaniu piskląt ojcowie żadnego udziału nie biorą, jak zresztą wszystkie nasze bekasy. Kłopoty rodzicielskie spadają u nich wyłącznie na barki matek.

W społeczeństwie ptasiem jest to objaw bardzo często spotykany, który poza bekasami, występuje u niektórych kuraków i wszystkich prawie kaczek. W świecie ptaków, podobnie jak i u ludzi, rozmaici są ojcowie. Kaczor naprzykład jest groźnym wrogiem usłanego przez samicę gniazda, które — o ile tylko znajdzie — nie omieszka zniszczyć, zaś jaja rozgniata i tłucze. Natomiast samczyk kuropatwy opiekuje się troskliwie swą rodziną i dba o nią nie mniej, niż matka, a u siewki-mornela wyłącznie ojciec ponosi trudy wylęgania jaj i wychowywania piskląt, zaś funkcje samicy ograniczają się tylko do zniesienia pewnej ilości jaj, poczem opuszcza małżonka i więcej o rodzinę wcale się nie troszczy.

Bekasy zatem nie są dobrymi ojcami — to prawda, ale jednak na miano wyrodnych także nie zasługują.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

Ciąg dalszy.

VII
SŁOŃ AFRYKAŃSKI

Myśliwy, który w tepędy zanim podążył, był pewny, że w dole albo trupa znajdzie, albo tak ubezwładnione zwierzę, że go z łatwością dobije. Niestety został srodze zawiedziony. Trochę krwi, trochę połamanych drzewek i pogniecionych krzaków, to wszystko, co świadczyło, że przed chwilą leżał tam kolos gruboskóry, po upadku ze ściany kilkunastometrowej. Słonia nie było... Zdumienie!... Ani skręcenia karku, ani złamania nogi, ani wstrząsu mózgu, ani nawet poważniejszych obrażeń wewnętrznych?! Trochę nadwyrężonej skóry, i tyle!...

Rzeczywiście zamało, jak na zwierzę o przeciętnej wadze 3.000 kg!

O ile słoń, gdy się wspina na strome i obsuwające się zbocza, stawia ostrożnie krok za krokiem, jakby dobrze zdawał sobie sprawę z tego, iż niebylejaki ciężar cielska ma do wydźwigania wzwyż, to zejście po takim stoku uskutecznia, jakby to z pozostałych śladów sądzić można, bez namysłu, na łeb na szyję.

Gdy jest w stadzie, zjeżdża takim zboczem w dół całe towarzystwo, skoro tylko przewodnik stada wskazał im tę drogę.

To ryzykowne — jakby się zdawało — zejście, odbywa się — jak mi czarni moi towarzysze polowania opowiadali — bez żadnych wypadków i karamboli, bo w postawie siedzącej, przyczem zady słoni służą im za saneczki do ześlizgiwania się po stromej ścianie urwiska.

Ten sposób saneczkowania stosują przeważnie po stromych, a obrywających się brzegach rzek, aby dostać się do wody — a innego, dogodniejszego zejście — nie ma w pobliżu.

Nad górną Szirą miałem sposobność dwukrotnie natknąć na ślady po takiem saneczkowaniu się słoni. Głęboko wyorana rynna ziemna o wygładzonej, wilgocią świecącej powierzchni, świadczyła bezspornie o tem, że potężne ciężary zsuwały się tędy w dół.

Gdybym właśnie wówczas nie był na tropie słoni, który mię do tego miejsca zawiódł, lecz odkrył tę rynnę przypadkowo, nie byłbym wierzył, że to sprawka słoni. Byłbym raczej przypuszczał, że ślad ów pozostał po spuszczonym tędy olbrzymim pniu drzewnym, jak to się zwykle dzieje w górach, gdzie tubylcy wielkie drzewa na swoje łodzie wyrębują, i w podobny sposób, jak u nas, w dół do najbliższego potoku transportują.

Oczywiście rozwiązanie takiej zagadki, jak ów zjazd w dół się odbywa, mogło nastąpić dopiero po długich a wyczerpujących wyjaśnieniach mego tropiciela (z praktyczną demonstracją jednego z tragarzy, który posiadał na sobie dość silny fartuszek ze skóry antylopiej), sam bowiem, może po dziś dzień, biedziłbym się nad jej rozwiązaniem. Jednej tylko rzeczy nie mógł mi ten wszystko wiedzący tropiciel wytłumaczyć, a mianowicie jaki cel miały słonie, aby zjeżdżać właśnie w tem miejscu, gdy mo-

gły wygodnie zejść opodal, a szkarp był gliniasty i dość trwały, i żadnej wody na dnie parowu.

Czyby tu szło słoniom o skrócenie sobie drogi, czy też o samą przyjemność takiej lokomocji?... Znakomity myśliwy na grubego zwierza i autor wielu dzieł łowieckich — Anglik, Denis D. Lyell, który obserwował saneczkujących się w ten sposób gruboskórców, w książce swojej „The African Elephant and its Hunters", w ten sposób je opisuje: „Innym razem obserwowałem, jak stado słoni zjeżdżało po stromym brzegu do rzeki Luangwy. Zanim przystąpiły do rzeczy, udeptały sobie stopami dostęp do krawędzi brzegu, aby mieć dogodny start. Tylko jeden, czy dwa słonie, tem się zajęły, poczem całe stado poszło za niemi, opuszczając się w dół na zadach, z wyciągniętemi przed siebie, przedniemi nogami. Ponieważ było to w porze suchej i panowała podówczas ogromna spieka, pył, jaki spowodowały swoim zjazdem, długo, jak ciężka chmura, wisiał w powietrzu. Słonie, sforsowawszy w ten sposób stromą ścianę, przepłynęły na drugi brzeg rzeki...".

Ten sam myśliwy, który w czasie swych polowań w Afryce środkowej, miał sposobność obserwować na ogół przeszło dwa tysiące słoni, w różnych okolicach i wśród różnorodnych okoliczności, wspomina także, że był świadkiem upadku słonia ze stromej góry, pod którym w czasie ucieczki, oberwał się kawał, kruchej skały. Jakkolwiek słoń upadł odrazu tak niefortunnie, że chwilowo stanął na głowie z nogami w górze, a potem pokoziołkował po zboczu w dół, wyszedł z tej afery cało.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Niejednokrotnie narzuca się nam pytanie, czy słoń przy swem łagodnem i jakby bojaźliwem usposobieniu wobec ludzi, może być niebezpiecznym dla polującego nań myśliwego?

Wedle mego osobistego przekonania, musiałbym powiedzieć stanowczo: tak!

Jest to także zdanie wielu znanych, pierwszorzędnych myśliwych na grubego zwierza w Afryce, zwłaszcza Anglików. Są nawet tacy, którzy uważają go za jednego z najgroźniejszych przeciwników, z jakim może się spotkać myśliwy w dżunglji afrykańskiej. Polowanie na tego gruboskórca kryje bowiem w sobie o wiele więcej momentów groźnych, aniżeli polowanie na nosorożca, bawoła, lwa lub lamparta.

Oczywiście zależy dużo od tego, w jaki sposób myśliwy chce zrealizować zamierzony cel, tj. ubicie tego zwierza. Jeśli bowiem pragnie go dostać za wszelką cenę, chociażby wśród najgorszych okoliczności, to wtedy niebezpieczeństwo może być ogromne. Natomiast, gdy pragnie wykorzystać tylko wyjątkowo odpowiadające mu sytuacje i na najdogodniejszym terenie, to rzecz naturalna, niebezpieczeństwo będzie mniejsze.

Ale będzie zawsze i wszędzie. Bo przecież mamy do czynienia z ogromem zwierzęcia, o nadzwyczajnej sile i żywotności zdumiewającej, a nigdy przewidzieć się nie da, jak strzelany słoń w danej chwili się zachowa, oraz czy, choćby najlepsza broń i pozornie najlepiej umieszczony pocisk doraźną śmierć tego olbrzyma przyniesie.

Ranić słonia łatwo, ale uśmiercić go, to już trudniej. Nieraz potrzeba całego szeregu strzałów, aby go unieruchomić. A raniony słoń jest nieobliczalny. Czasem, już po pierwszym strzale wpada w furję. Ale moment ten niekoniecznie musi zwiastować właściwego ataku na myśliwego, tembardziej, jeśli go ani zwietrzył, ani dojrzał. Poruszenia jego są początkowo, jak u każdego zwierza, odruchowe. Wyzłości się, stratuje ziemię dokoła, powyrywa drzewka o ile w są w pobliżu, czasem naodgraża się w swoim języku niedostrzegalnemu wrogowi, a potem uspokaja się, i odchodzi. Odchodzi, aby się ukryć.

Teraz jest już gorzej. Jeśli myśliwy ma iść za tropem,

Krambambuli

wolne tłumaczenie z noweli Marie von Eschenbach.

Do wielu rzeczy można się w życiu przywiązać i je polubić, ale kochać i to kochać miłością prawdziwą i dozgonną tylko raz jeden, i to nawet nie zawsze. Tego zdania jest przynajmniej stary leśniczy pan Hopp.

Ileż to psów miał w swem myśliwskiem życiu, wiele z nich lubił ale kochał i nie zapomniał tylko jednego. A był to „Krambambuli".

W Wyszowie kupił go, a właściwie wymienił w karczmie od jakiegoś napędzonego leśniczego, który wałęsał się bez zajęcia. Od pierwszego wejrzenia ogarnęło Hopp'ego dziwne przywiązanie do tego psa, które przetrwać miało do ostatniej chwili jego życia.

Właścicielowi tego pięknego zwierzęcia patrzało wilkiem z oczu. Siedział rozwalony przy stole, przed nim stał próżny kieliszek wódki, a on krzyczał na gospodarza, że mu drugiego niechce dać na kredyt. Mały, w sile wieku, a jednak tak wyżółkły jak więdnące liście jesienne, o płowych włosach i rzadkiej płowej brodzie, ubrany był w myśliwską kurtkę, zdaje się jedyną, która mu pozostała z poprzedniej służby, a która nosiła na sobie ślady szeregu nocy przespanych w przydrożnych rowach.

Chociaż leśniczy Hopp zasadniczo unikał podobnego towarzystwa, to jednak zaraz na widok psa przysiadł się do włóczęgi, rozpoczął z nim rozmowę, w czasie której dowiedział się, że nicpoń oddał karczmarzowi w zastaw za wódkę nietylko sztucer z torbą myśliwską, ale teraz chciałby zastawić psa, tylko ten podły lichwiarz niechce słyszeć o zastawie, któremu trzeba dawać jeść.

Leśniczy Hopp ani słówkiem nie zdradził, jak bardzo mu się pies podoba, kazał gospodarzowi podać flaszkę dobrej gdańskiej wiśniówki i pilnie dolewał do kieliszka przygodnego towarzysza. Po godzinie wszystko było w porządku. Hopp dał dwanaście flaszek tego samego trunku, przy którym dobito transakcji — a włóczęga psa.

Trzeba jednak przyznać na jego korzyść, że nie przyszło to łatwo, bo kiedy nadeszła chwila zakładania na szyję psa sznura, to mu tak ręce drżały, że zdawać się mogło, że nigdy tego nie dokona. Leśniczy Hopp czekał cierpliwie i milcząc podziwiał cudownego psa, mimo opła-

musi skupić uwagę, niczego nie przeoczyć (zwłaszcza kierunku wiatru) i na wszystko być przygotowany. Raniony poraz wtóry, choćby nawet śmiertelny strzał otrzymał, działa do ostatniej chwili z rozmysłem. Gdy w takiej chwili zdecydował się uderzyć na swego prześladowcę, to znak, że go dojrzał. Atak idzie wtedy w tempie gwałtownem. Poruszenia jego są niewiarogodnie szybkie, zaś cel wyraźny: zniszczenie wroga.

Jakże łatwo go dopada, jeśli myśliwy na sekundę się zacukał lub zrobił ruch niewłaściwy! Gdy go dosięgnął, to nie ogranicza się do uderzenia trąbą lub kłami, ale mając go już pod sobą, stara się go stopami zetrzeć na miazgę.

W ten sposób zginął niejeden z białych myśliwych, zwłaszcza myśliwych starej daty, posługujących się ciężką bronią grubych kalibrów, co wymagało bardzo bliskiego podchodzenia zwierza. Najwięcej zaś ginęło czarnych, z uwagi na to, że tubylec taki nie strzelał do słonia inaczej, jak z odległości kilku kroków. Ani zupełne opanowanie nerwów, ani nadzwyczajna obrotność w ruchach i znajomość rozmaitych fortelów nie mogła często uchronić takiego myśliwego przed katastrofą.

Bardzo oszałamiającą dla myśliwego, jest szarża słonia przy akompanjamencie rozdzierających głosów, jakie wówczas ze siebie wydaje, a szczególniej tzw. trąbienia. Nieobeznany ze zwyczajami tego gruboskórca myśliwy, doznaje pewnego rodzaju odrętwienia, i jest chwilowo jakby sparaliżowany.

Zdarza się jednak, że słoń atakuje również, nie wydając ze siebie żadnego głosu. Niekiedy nawet bezpośrednio nie sprowokowany. Takiem złośliwem usposobieniem odznaczają się, jak mi opowiadali murzyni, stare samice bez kłów.

C. d. n.

WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

VI
LEŚNICZY W KOZIENICKIEJ PUSZCZY

Już sam tytuł opery „Leśniczy w Kozienickiej puszczy" wskazuje, że ma ona związek z myślistwem. Wspomniałem o niej już dwukrotnie w ciągu niniejszych szkiców[1]). Opera ta nie jest oczywiście „myśliwską" w takiem znaczeniu, ażeby o niczem innem, jak tylko o łowach, nie było tam mowy. Ale wystarczy, że rzecz dzieje się w słynnej, historycznej puszczy, że akcja toczy się w leśniczówce, o której mówi gospodarz, leśniczy Poręba, że była mieszkaniem królów polskich, gdy w Kozienicach dla łowów przebywali, że wreszcie całość, wzięta z życia leśnika i myśliwego zarazem, zarówno sytuacjami, jak śpiewkami i językiem, nawiązuje wciąż do zwyczajów łowieckich.

Tekst „libretta" jest oryginalnym utworem Józefa Wawrzyńca Krasińskiego[2]). Nie dziwi nas u tego autora znajomość życia łowieckiego, znajomość zwrotów i wyrażeń charakterystycznych dla myślistwa. Znajomość ta była wówczas powszechną. Możemy się tylko smucić na myśl, że gdyby dziś wystawiono tę sztukę, język jej byłby dla widzów niezrozumiały...

Muzykę napisał Karol Kurpiński. Znakomity Karol Kurpiński, którego 150-tą rocznicę urodzin obchodziliśmy w tym roku[3]), kompozytor, dyrygent, wielki pionier ro-

[1]) Rozdział I. i V.

[2]) Zob. Estreicher, II, str. 471.

[3]) Zob. Reiss J. prof. „Krakowiacy i Górale" na scenie wiedeńskiej. (W 150-tą rocznicę urodzin Karola Kurpińskiego), I. K. C. 1935, nr. 40; Mayzel Cz. K., Karol Kurpiński. (W 150-tą rocznicę urodzin), I. K. C., 1935, nr. 70, dod. lit.-nauk.; W 150-tą rocznicę urodzin Karola Kurpińskiego, Kurjer Lwowski, 1935, dod. lit.-nauk. nr. 9; Życiorys Kurpińskiego zob. u Karasowskiego M.: Rys historyczny opery polskiej, Warszawa, 1859.

---

kanego stanu w jakim się znajdował. Pies mógł mieć najwyżej dwa lata, a maść jego była podobna do koloru wisusa, którego był własnością, może tylko odcień sierści był ciemniejszy. Na czole miał białą kreskę, z której w prawo i lewo wybijały się wązkie kreski kształtu szpilek jodłowych. Oczy głębokie, ciemne, świecące, otoczone jasno-żółtemi wązkiemi obwódkami, dobrze osadzone, długie, jedwabiste. Wszystko było na nim bez zarzutu, począwszy od pazurów aż do delikatnych, wilgotnych nozdrzy, silna, smukła postać wsparta była na czterech przepięknych muskularnych łapach, któreby z łatwością nosić mogły ciało jelenia, a przecież nie były wiele grubsze od skoków zajęczych. Na świętego Huberta, myślał Hopp, wpatrując się w psa, to zwierzę musi mieć genealogję tak starą i czystą jak rycerz maltański. Serce śmiało się w starym strzelcu na myśl o wspaniałym interesie.

Wstał, ujął sznur, który wreszcie zawiązał włóczega i zapytał: „Jak on się nazywa?" — „Nazywa się jak to, za co go kupujecie: Krambambuli". — „Dobrze. No chodź Krabambuli, no chodź! pójdziesz?! ruszaj!

Długo mógł Hopp wołać, gwizdać, szarpać, pies nie słuchał, tylko zwrócił głowę do tego, którego uważał jeszcze za swego pana, zaczął wyć, a kiedy mu tamten krzyknął „Marsz" i dla dokumentowania swego rozkazu kopnął, pies ciągle wyrywał się Hopp'emu. Dopiero po zaciekłej walce udało się leśniczemu psa związać, wrzucić do wora i tak na plecach zanieść do oddalonej o kilka godzin drogi leśniczówki.

Trzeba było całych dwóch miesięcy zanim Krambambuli po każdej próbie ucieczki, bity prawie na śmierć, przywiązany na koralach do łańcucha, w końcu pojął, do kogo teraz należy. A potem, gdy go Hopp ujarzmił, jakim się stał psem! Wprost nieda się opisać do jakiej wyżyny doskonałości doszedł Krambambuli, nie tylko w wykonywaniu swego „zawodu", ale także w codziennem życiu jako gorliwy sługa, dobry i wierny przyjaciel i obrońca. „Tylko mu mowy brak" mówią o psach, ale Krambambulowi nawet tego nie brakło; przynajmniej jego pan miewał z nim długie i częste narady.

Żona leśniczego była porządnie zazdrosną o „Bula" jak go pogardliwie nazywała. Nieraz czyniła mężowi z tego powodu wymówki. Kiedy zmęczona całodziennem krzątaniem się koło gospodarstwa, wieczorem przy świetle siadała do robienia na drutach, chętnie nieraz porozmawiałaby z mężem, ażeby rozpędzić nudę cichych, długich wieczorów zimowych. Raz nawet z wyrzutem rzekła mę-

dzimej opery polskiej, nieśmiertelny autor „Krakowiaków i Górali"[4]). „Leśniczy w Kozienickiej puszczy" —



Karol Kurpiński

to jedna z ostatnich jego oper. Wystawiona była w Warszawie po raz pierwszy dnia 28 października 1821[5]). Nie cały tekst jest śpiewany. Jak to było w ówczesnych operach, sceny śpiewane przeplatane są mówionemi, proza miesza się z poezją. Tekst słowny ogłoszony był drukiem. Podaję tu reprodukcję jego karty tytułowej. W druczku tym wymieniono po nazwisku artystów, którzy brali udział w pierwszem przedstawieniu. Rolę głównej bohaterki, młodej panienki Ludwiki, miała pani Aszpergerowa. Co za odległość! Pani Aszpergerowa jako młoda panienka. Starsza generacja Lwowian pamięta dobrze tę słynną artystkę jako staruszkę...

Tekst muzyczny natomiast nie był opublikowany. Mimo poszukiwań, nie zdołałem, dotychczas przynajmniej, odszukać rękopiśmiennej partytury. Jakaż szkoda, że jest przed nami ukryta, a może na zawsze zaginiona melodja takiej np. piosnki leśniczego Poręby (Arja nr. 4):

LEŚNICZY

w KOZIENICKIÉY PUSZCZY.

OPERA

w JEDNYM AKCIE

Oryginalnie napisana, z muzyką JP. Karola Kurpińskiego

Na Scenie Narodowéy w Warszawie, dnia 28. Października 1821. pierwszy raz wystawiona.

---

w WARSZAWIE.

Nakładem i Drukiem Zawadzkiego i Węckiego Uprzywilejowanych Drukarzy i Księgarzy Dworu Królestwa Polskiego.

1822.

---

[4]) Słowa J. N. Kamińskiego.

[5]) Karasowski j. w., str. 358.

żowi: „Że też ty zawsze masz o czem mówić do psa, a do mnie ani słowem się nie odezwiesz. Od ciągłego obcowania z tem bydlęciem, zapominasz, jak mówi się do ludzi". A leśniczy w duchu przyznać musiał, że tkwi w tem duża doza prawdy. Ale co on mógł poradzić. O czem miał gadać ze starą? Dzieci nie mieli, krowy trzymać nie było im wolno, a drób domowy nie interesuje strzelca w stanie żywym, a pieczony też nie bardzo. Znowu dla kultur lasowych, albo przygód myśliwskich pani Hopp miała mało zrozumienia. Ale Hopp znalazł w końcu wyjście i zamiast mówić z Krambambulim, mówił o nim, o trjumfach, które dzięki psu wszędzie święcił, o zazdrości jaką wzbudzał u myśliwych i leśników, o zawrotnych sumach które mu za psa ofiarowano, a które on pogardliwie odrzucał. A Krambambuli słuchał i zdawał się rozumieć, co pan o nim opowiada, drzemiąc pod piecem na poduszce sianem wypchanej, mrużył oczy i od czasu do czasu dawał ogonem znać, że rozumie i słucha z zajęciem.

Tak minęły dwa lata. Raz zjawiła się w domu leśniczego sama hrabina, żona chlebodawcy. Hopp zaraz domyślił się, co mają znaczyć te zaszczytne odwiedziny, a kiedy do tego piękna pani zaczęła: „Dzień dobry, mój panie Hopp, jutro są urodziny hrabiego..., przerwał jej i dokończył spokojnie z uśmiechem: „Jaśnie pani chciałaby zrobić panu hrabiemu podarunek, a jest przekonana, że niczem innem nie sprawi tyle przyjemności, ile Krambambulim?" „Tak, tak, drogi panie Hopp".

Hrabina poczerwieniała z radości, że strzelec sam jej zaproponował to, czego sobie tak bardzo życzyła. Zaraz zaczęła mówić o wdzięczności i prosiła tylko o wymienienie ceny, którą natychmiast chciała uiścić. Ale stary wyga uśmiechnął się, udawał bardzo uniżonego, aż nareszcie wyjechał z takiem oświadczeniem:

„Jaśnie pani hrabino, jeżeli ten pies będąc w pałacu, nie rozgryzie każdego postronka, nie rozerwie każdego łańcucha, albo nie będąc w stanie go zerwać, nie udusi się, to proszę go darmo zatrzymać, bo w przeciwnym razie nie miałby dla mnie najmniejszej wartości".

Urządzono próbę. Ale zanim przyszło do uduszenia, przestał uparty pies hrabiemu sprawiać przyjemności. Naprożno starano się go ujarzmić naprzemian łagodnością, to znów surowością. Pies gryzł każdego, kto tylko się do niego zbliżył. Odmawiał wszelkiej strawy i zupełnie opadł z mięsa. Po dwóch tygodniach dano znać Hopp'emu, że może odebrać swego kundla.

Hopp skwapliwie skorzystał z pozwolenia. Dopieroż

Najprzód w bardzo rannej porze
Głosem trąbki obudzony,
Dodnia, skoro błysły zorze,
Zerwałem się jak szalony,
Wziąwszy strzelbę ulubioną,
Torbę i trąbkę zieloną;
A moje pieski kochane
Tak były posforowane:
Zagraj z Szumlasem,
Śpiewak z Grzmilasem,
Lutnia z Budziszem,
Trafna z Błociszem.
Całkiem gotowy
Śpieszę na łowy.
W głębi puszczy za bagnami
Spotkałem się z kolegami.
Radzim, skąd wiatr, gdzie zwierzyna.
Wtem dochodzi nas nowina,
Że tuż blisko, przy dębinie,
Ogromny dzik jest w gęstwinie.
Wnet się wszyscy rozstawiają,
Psy na tropy rozpuszczają.
Skoro zatrąbiono,
Dzika poruszono.
Aj, aj, aj, aj, aj, aj, aj, aj... *(ad libitum)*
Gonią pieski rachu, rachu,
Dzik nie wie, co robić w strachu.
Waldman[6]) się trochę umyka,
Ja nań krzyczę: pilnuj dzika!
On nas tu nie może minąć,
Lada moment musi zginąć.
Każdy się gotuje
I strzelbę rychtuje,
Tam gdzie pieski grają,
Gdzie się doławiają.
Już je słyszę z bliska,
Wedle stanowiska.
Wtem znienacka widzę dzika,
Strzelam, a mnie skałka pstryka!
Pojedynek tak wysoki, *(pokazuje)*
Ominął mnie o trzy kroki
I najnieszczęśliwszym losem
Uciekł mi pod samym nosem.
Ja w tej smutnej dobie
Sam niewiem, co robię,
Klnę, djabłów rachuję,
Wreszcie nawołuję.
Atu tu, atu tu, na tu tu... *(ad libitum)*
Gdy go raz wzięły na głosy,
Jak ludzie kogo na zęby,
Tak przez gołoborza wrzosy
Przegnały aż za poręby.
Nic nie słyszę w tym rejwachu,
Próżno trąbię: tiachu, tiachu,
Tiu, tiu, tiachu, tiu, tiu, tiachu... *(ad libitum)*
Wszystko robię nadaremnie,
Myśliwi się śmieją ze mnie,
A dawnemi zwyczajami,
Uradzili dać sforami.
Szczęściem Waldman nadleśniczy,
Co mi zawsze dobrze życzy,
Przestrzegłszy mnie o tem cicho,
Pohamował te swawole
I na tem zeszło to pole.
Niech go razem porwie licho!...

Wieleż w tych słowach treści myśliwskiej, wiele gwarowego, zabytkowego niemal materjału. Jakaż i muzyka musiała być do nich swoista!

Piosnkę swą Poręba uzupełnia jeszcze następującem opowiadaniem:

„Późno dopiero wieczorem, myśliwi powrócili ze psami... Najlepszego mojego Szumlasa przeciął pojedynek na dwoje, Lutnia na trzech łapach wróciła, a Zagraj tak się zagonił, że zginął, bo go odwołać nie mogli... Założyliśmy jeszcze brzegi na lisy i zające, ale jakby się zmówiły: skoro który wytknął na stanowisko, zachwyciwszy wiatru... myk, nazad do kniei... A tak, znużony, zmęczony, a co gorsza, najlepszych psów pozbawiony, wracam do domu..."

Treść opery jest taka, że Poręba ma zamiar wydać za swego przełożonego, starego nadleśniczego Waldmana,

[6]) Nazwisko nadleśniczego.

było to przywitanie pełne radości. Z gardła Krambambulego wyrwał się dziki skowyt, skoczył na pana, przednie łapy oparł o jego piersi i lizał rozradowaną twarz starego leśnika.

Wieczorem tego szczęśliwego dnia pomaszerowali razem do gospody. Strzelec grał taroka z doktorem i rządcą, a Krambambuli leżał w kącie za swoim panem. Ten oglądał się miłośnie na niego od czasu do czasu, a pies chociaż zdawał się być pogrążony w głębokim śnie, otwierał zaraz oczy i telegrafował ogonem. A kiedy Hopp, jakby zapominając o towarzyszach partji, zaczynał jak pieśń trjumfalną „Co robi mój Krambambuli?", wtedy pies podnosił się z godnością, a jego jasne oczy odpowiadały: „Dobrze mu".

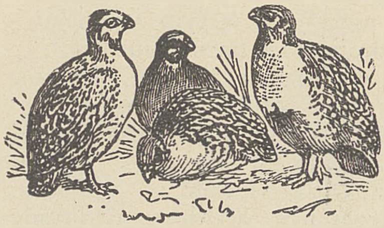
Właśnie w tym czasie grasowała w całej okolicy i przyległych lasach banda kłusowników. Hersztem tej bandy był jakiś łotr z pod ciemnej gwiazdy. Parobcy, którzy go spotykali w zakazanych spelunkach i karczmach, straż leśna której się umiał zawsze wymknąć, wreszcie wspólnicy których sobie dobierał z wyrzutków społeczności, zwali go „żółtym".

Był to chyba jeden z najbezczelniejszych awanturników, z jakimi mieli do czynienia leśnicy, ale był też mistrzem kłusownikiem, który umiał z taką pewnością tropić zwierza, z jaką wymykać się z sideł i pułapek na niego zastawionych.

Szkody w zwierzostanie i drzewie dosięgały niebywałej wysokości, a cała służba lasowa dzień i noc żyła w przykrem naprężeniu. Mściło się to na biedakach, którzy przyłapani na drobnej kradzieży leśnej, bywali srodzej karani przez zdenerwowanych leśników, niż zasługiwało drobne nieraz przewinienie. Wskutek tego panowało ogólne rozgoryczenie wśród ludności, które kierowało się głównie przeciw nadleśniczemu, podejrzywanemu po części słusznie za drakońskie zarządzenia. Nadchodziły przyjacielskie anonimy, przestrzegające hrabskiego nadleśniczego przed zemstą kłusowników, ale on człowiek młody, energiczny, nic z tego sobie nie robił, przeciwnie starał się o to, by rozeszła się wieść, że on najsurowiej nakazał podwładnym sobie leśnikom bezwzględne ściganie przestępców. C. d. n.



sierotę — siostrzenicę swą, Ludwikę, oczywiście wbrew jej woli. Serce jej zabrał porucznik ułanów, Walczyński... W chwili, gdy ułan pragnie w potajemnej schadce ostatni raz pożegnać swą miłą, następuje niespodziane rozwiązanie: z Warszawy przychodzi dymisja dla Waldmana a nominacja na jego miejsce dla... Walczyńskiego, który temsamem staje się przełożonym Poręby. Rozumie się, że w tych warunkach o rękę Ludwiki nie potrzebował już długo zabiegać. C. d. n.



A. GROETSCHEL

Zasadzka na odyńca

Działo się to na Bukowinie na kilka lat przed wojną światową w rozległym majątku leśnym. Leśniczy rewirowy zaproponował dyrektorowi lasów odstrzał dużego odyńca na zasiadce. Straż bowiem leśna wyśledziła, że jeden z najsilniejszych odyńców powyższego majątku dzień w dzień przechodzi tym samym przesmykiem wieczorem i rano. Dyrektor z powodu nawału zajęć, czy też trudności terenowych, nie przyjął powyższej propozycji, a wydelegował w swojem zastępstwie adjunkta leśnego Inż. W.

Inż. W. przyjął z radością zlecenie — dojechał końmi z leśniczym do odległej o kilkanaście kilometrów leśniczówki a stamtąd ruszył pieszo wraz z gajowym na miejsce zamierzonej zasiadki.

Po półtora godzinnym uciążliwym chodzie dotarli adjunkt i gajowy na miejsce przeznaczenia, do starego, jodłowo-świerkowego, znacznie przerzedzonego lasu, lecz przybyli zapóźno, noc bowiem tymczasem zapadła zupełna.

Przy pomocy latarki zorjentowali się w sytuacji, adjunkt odrazu wybrał miejsce zasiadki, gajowy zaś odszedł do pobliskiego prymitywnego schronienia, by nie przeszkadzać myśliwemu.

Szelest oddalających się kroków gajowego zanikał coraz bardziej w ciszy leśnej — gdy adjunkt W. usadowiwszy się na starym pniaku jodłowym pogrążył się w zadumę. Były to pierwsze dni jesieni, noc bezchmurna, gwiaździsta, jednak w starym, choć przerzedzonym drzewostanie panowały dość znaczne mroki.

Lasy danego majątku łączyły się całą swą szerokością z masywem Karpat, stąd w tej partji lasu nie trudno było o spotkanie z najgrubszym zwierzem.

Kto nie siedział nigdy samotny w bezgranicznych lasach na przesmyku zwierza, ten nie pojmie, jakich wrażeń doznaje myśliwy, gdy mroki nocy osłonią dokoła odwieczny bór. Słuch staje się czujny, jak u zwierzyny leśnej, a każdy najlżejszy szelest wywołuje w wyobraźni fantastyczne obrazy mogącego się zbliżyć zwierza. Nerwy się wytężają, a serce na lada szmer przyśpiesza wydatnie tempo.

Adjunkt W. otulił się szczelnie w obszerny lodenowy płaszcz myśliwski, kryjąc strzelbę we wnętrzu tegoż. Czas jakiś nadsłuchiwał zwodniczych szmerów leśnych, poczem zadumał się o tem i owem, a najwięcej o odyńcu — kombinując, gdzie z brzaskiem dnia może się on najpierw pojawić.

Chwile oczekiwania mijały powoli, monotonnie, żaden bowiem zwierz nie pojawił się na przesmyku i cisza panowała grobowa. Obrazy fantazji myśliwego począł zwolna mącić półsen — wreszcie głowa adjunkta skłoniła się lekko, ogarnięta pełnią snu.

Niebawem pojawiły się nowe, lecz już wybitnie senne majaki, niejednolite, przerywane: trudny ciężki pochód przez głębokie debry i gąszcze, urywki z dawnych lub nigdy nie odbytych polowań, gon psów myśliwskich, gwarny zjazd na polowanie, wreszcie czas dłuższy porwane bez sensu obrazy. Wkońcu z tego chaosu majaczeń wynurzył się obraz zupełnie odmienny, wybitnie wyraźny, logiczny: oto obrzedni starodrzew jodłowy, tu i ówdzie gęste grupy jodłowej młodzieży — z poza pni od strony wschodu pierwsze brzaski wstającego poranku. Z oddali słychać powolne stąpanie, po chwili rozstępują się gęste młode jedliny, a z nich wśród mgły porannej wychyla się przepiękny stary odyniec. Adjunkt czuje odrętwienie w całem ciele, daremnie wysila się, by podnieść strzelbę, ręce odmawiają posłuszeństwa, nie może mimo wysiłku absolutnie uczynić żadnego ruchu, tymczasem dzik idzie wprost na niego, powoli, ostrożnie, lecz coraz bliżej, już prawie go dosięga.

Myśliwy czuje, jak mu pot skrapla czoło, chce krzyknąć, lecz ust otworzyć nie może. Ostatni szalony wysiłek woli i o dziwo adjunkt otwiera oczy, a więc to sen. Gdzieś tam, w istocie od wschodu zarysowuje się pierwszy słaby brzask dnia, pnie starych jodeł i świerków wyraźnie występują z oddali, a bliżej ciemnieją gęste podrosty jodłowe i lekkie krople osiadłej mgły spływają od czasu do czasu z giętkich gałązek na wilgotną ziemię, — a na przesmyku w odległości ośmiu kroków stoi bez ruchu potworny odyniec, o olbrzymim siwym łbie, o jasnych dużych szablach i małe oczka wlepia w bezradnie skulonego adjunkta.

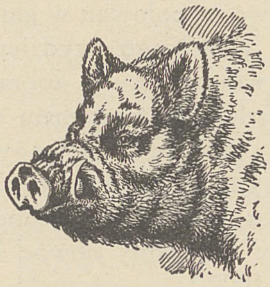
Myśliwy patrzał chwilę osłupiałym wzrokiem, sądząc, że to ostatni majak przebytego snu — lecz kiedy minęło kilka minut i w coraz silniejszem świetle poranka, obraz pozostał bez zmiany, zebrał raz jeszcze myśli i postanowił działać.

Możliwie ostrożnie i powoli rozsuwać począł fałdy płaszcza. To powiodło się, zaczem otucha wstąpiła w odrętwiałe serce adjunkta. Lecz z chwilą, gdy oburącz ujął swą strzelbę i wykonał pierwszy, choć bardzo ostrożny ruch wprzód, nieruchomy dotychczas, jak statua spiżowa dzik, drgnął na całem ciele i jednym gwałtownym susem wpadł w grupę jodeł, łamiąc i gnąc ku ziemi młode drzewka.

Adjunkt zerwał się z miejsca, w trzech sekundach był gotów do strzału — pochylił się w stronę ucieczki dzika — lecz odyńca nie było już widać, tylko silny łomot na zboczy wskazywał kierunek jego odwrotu.

Adjunkt stał czas jakiś bez ruchu, nie mogąc oderwać oczu od miejsca, w którem przed chwilą znikł odyniec — serce ciągle jeszcze biło mu gwałtownie, a posępne myśli

nie schodziły mu z głowy. Wszak zepsuł najpiękniejsze w życiu spotkanie, przespał najefektowniejszy moment zbliżania się dzika, zasiadł fatalnie na samym przesmyku, zamiast obrać stanowisko conajmniej o kilkanaście kroków opodal ścieżyny dziczej. Wreszcie ruszył adjunkt zwolna ku schronisku — a rój smętnych myśli nie odstępował go przez całą drogę powrotną.



STANISŁAW MORAWETZ

Miejski Park Leśny „Las Wolski" pod Krakowem

W odległości około 7 km od centrum miasta Krakowa, na wyniosłem wzgórzu (365 m. n. p. m.), znajduje się 500-morgowy kompleks leśny o różnorodnym drzewostanie odroślowym z przewagą: buka, dęba i brzozy, z podszytem leszczynowo-kruszynowem i bogatem runem.

Objekt ten, położony na tak znacznej wyniosłości, posiada prześliczne widoki na wszystkie strony. Stąd widać bardzo dobrze w dnie pogodne silne masywy Tatr i całą podgórską okolicę z srebrzącą się wstęgą Wisły u podnóża lasu i z pięknym klasztorem Konwentu OO. Kamedułów, jedynym dziś eremem w Polsce, na sąsiedniem wzgórzu i dziejowym zamkiem tynieckim na dalszym planie; zaś z drugiej strony roztacza się wspaniały widok na dolinę Ojcowa, lesiste okolice Krzeszowic i Czerny; natomiast z trzeciej strony mamy jak na dłoni całe miasto Kraków z kopcem Kościuszki i rozległemi błoniami krakowskiemi na czele, a nieco z boku wykwita mozajkowa panorama Bronowic i okolicy. Dla tych malowniczych widoków Las Wolski stał się ulubionem miejscem wycieczkowo-wypoczynkowem mieszkańców Krakowa i okolicznej ludności.

Dwie wyniosłości — „Sowiniec" (gdzie obecnie sypie się kopiec Marszałka Piłsudskiego) i „Pustelnik" — oraz liczne parowy i t. p., składają się na wspaniałą konfigurację terenu. Zwłaszcza prześliczną jest partja leśna w stronie północnej, z grupą wyniosłych, urwistych skał i głębokim parowem t. zw. „Panieńskie Skały". Ten odcinek lasu uznany został przez Państwową Radę Ochrony Przyrody za rezerwat ze względu na wspaniały przeszło 100-letni drzewostan bukowo-dębowy z domieszką sosny i malownicze grupy skał jurajskich.

O „Skałach Panieńskich" znajdujemy w „Wspomnieniach" Ambrożego Grabowskiego następującą wzmiankę, która najlepiej ilustruje nam piękno tego zakątka Lasu Wolskiego: „Krzysztof Kolumb nowy świat, Vasco de Gama drogę do Indyj, a ja odkryłem i znaną uczyniłem przechadzkę do Panieńskich Skał, a jeśli ta u Krakowian wnijdzie w smak i zwyczaj, mnie chwała zaczęcia jej należeć będzie. Dziś (15 maja 1843 r.) w towarzystwie Wnego Piotra Bartynowskiego, prezesa sądu wyższego (jakoby ministra sprawiedliwości małej krainy krakowskiej), także Jana Winc. Smoniewskiego, odwiedziłem pod raz czwarty w tym roku ten miły zakątek ziemi naszej, do którego wszedłszy, rzekł zacny i szanowny prezes: „Miła to kryjówka, gdzie przed referatami choć na kilka godzin schronić się można i dokąd kłopoty rządowe trafić nie powinny". Wypocząwszy trochę, wężykowatą doliną albo raczej małym parowem puściliśmy się ku Bielanom, a idąc przeszło pół godziny wyszliśmy na górę nad wsią Przegorzały, skąd widok daleki i piękny na Zawiśle, na góry, słowem na tę część ziemi polskiej, którą po rozszarpaniu ojczyzny naszej chcąc ukryć przed dawnymi i prawymi dziedzicami, by ci do odzyskania jej trafić nie mogli (bo zawsze res clamat ad dominum, qui fuit ante suum) przywłaszczyciele ochrzcili mianem Galicji.

Dolinka ta, którąśmy szli, przyjemną daje przechadzkę. Dno jej wysłane suchemi liśćmi a góra ocieniona jest gałęźmi drzew. Flora jej właściwa jest lasom cienistym... i ziołoznawca znajdzie tu niejeden kwiatek, który się tu przed okiem ludzkiem i skwarem słońca pod zasłonę drzew przytula..., a przeżywszy swój kres, więdnąc dni ciche zakończa...".

Skały Panieńskie nie zmieniły wcale swego dawnego oblicza, natomiast dalsze partje lasu, szczególnie w stronie wschodniej i południowej, noszą odmienniejszy nieco charakter. Widać tu obszerne polany, liczne chodniki, ławki, mostki, altany i t. p. urządzenia parkowe do użytku publiczności.

Dla atrakcji publiczności zaś, która masowe robi wycieczki do Lasu Wolskiego, rozbudowuje się na 12-morgowej powierzchni terenu zalesionego zwierzyniec fauny krajowej. Szereg zagród z jeleniami, danielami, sarnami, dzikami i t. p., oraz klat i volier z różnego rodzaju ptactwem jak: bażanty ozdobne (srebrzyste, złociste, diamentowo-złociste, królewskie, różnobarwne i łowne), pawie, puhacze, gołębiarze, myszołowy, pustułki, kobuzy, puszczyki, sowy płomykówki i wiele innych jeszcze, a nadto niedźwiedzie, wilki, lisy, borsuki, żbik (jedyny okaz w polskich zwierzyńcach i wyjątkowy egzemplarz, który udaje się utrzymać w niewoli przy życiu przez tak długi czas), świstaki, tchórze, kuny, wydra, gronostaje, fretki i t. p. tworzą wcale ładny zaczątek zwierzyńca, w którym znalazło pomieszczenie blisko 200 okazów fauny rodzimej i trochę obcej. Okazy zgrupowane w zwierzyńcu pochodzą prawie w 90% od poszczególnych ofiarodawców — miłośników zwierzyńca fauny krajowej.

Nieopodal zwierzyńca, wśród pięknych zagajeń świerkowo-modrzewiowo-sosnowych, nad niewielką kotlinką, wypełnioną trzema stawkami i niewielkiemi łączkami, znajduje się bażantarnia dla celów hodowlano-łowieckich. Zajmuje ona teren 4-morgowy, należycie ogrodzony 3-metrowej wysokości palisadą i odpowiednio zadrzewiony. Na tym terenie Zarząd Lasu Wolskiego ma zamiar zaprowadzić sztuczną hodowlę jarząbków i cietrzewi po zlikwidowaniu hodowli bażantów, które już dostatecznie rozmnożyły się na dziko i niema obawy, aby

ich zabrakło w Lesie Wolskim. O jaja jarząbków i cietrzewi czynione są intensywne starania i może być, że sztuczna hodowla jarząbków i cietrzewi w Lesie Wolskim da dobre rezultaty, co będzie w ścisłej zależności od ilości i jakości dostarczonych jaj.

Jakkolwiek obszar Lasu Wolskiego jest stosunkowo niewielki, to jednak zwierzostan w łowisku jest bardzo różnorodny i liczny. Kilkadziesiąt sarn (rogacze osadzają wspaniałe poroże), bardzo wiele zajęcy (jako pierwszorzędny materjał rozpłodowy znachodzą licznych nabywców dla odświeżania krwi w łowiskach), mnóstwo bażantów, liczne stada kuropatw, sporadyczne słonki, kaczki krzyżówki i nieprzeliczone chmary ptactwa śpiewająco-pożytecznego, umilają pobyt z jednej strony, a z drugiej kilka rodzin borsuczych, wiele dzikich królików, wiewiórki, pilchy-popielice, orzesznice, napotykane lisy, kuny-kamionki, tchórze, łasice, gronostaje, oraz myszołowy, krogulce, kobuzy, pustułki, sowy różnego gatunku, sojki, sroki i inne krukowate i jastrzębiowate rozweselają ciszę i monotonję tego ślicznego parku leśnego.

Liczne zagajenia, polany, poletka hodowlano-łowieckie, poidła, paśniki, lizawki i t. p. urządzenia hodowlane widocznie znakomicie spełniają swe zadanie, jeśli w takiej ilości obrała sobie zwierzyna tu swoją ostoję, mimo braku należytego spokoju ze strony zwiedzającej las publiczności.

Las Wolski przed wojną był istnem eldoradem zwierzyny łownej. Na podleśne grunty chłopskie wychodziły całe rudle sarn, liczące po kilkadziesiąt sztuk nieraz. Na gruntach dworskich i włościańskich kicały setki zajęcy i żerowały bardzo liczne stadka kuropatw. W gąszczach zagajeń świerkowych przebywało bardzo wiele bażantów. Występowały dość licznie cietrzewie i napotykano też jarząbki. Po lesie gnieździły się krzyżówki i słonki, których strzelano rocznie po kilkadziesiąt sztuk.

Łowiectwo w lesie Wolskim jednak poczęło chylić się ku upadkowi z chwilą wydzierżawienia prawa polowania w nim spółce myśliwych, którzy przystąpili do intensywnej eksploatacji zwierzostanu tak, że z chwilą przejęcia tego objektu przez Gminę miasta Krakowa na własność, zostały tylko niedobitki sarn, zajęcy i kuropatw. Nie zastano już w rewirze ani jednego bażanta, ni też cietrzewia, ustały jakoś przeloty słonek, zaś krzyżówki przestały się gnieździć. Stan zwierzyny był opłakany. Dopiero dzięki wielkiemu umiłowaniu łowiectwa przez ś. p. inż. Wolskiego i jego niezmordowanym zabiegom hodowlanym przy intensywnem współdziałaniu całego personelu leśnego, udało się wreszcie podnieść stan zwierzyny w Lesie Wolskim do tego stopnia, że już w kilka lat potem można było rozpocząć polowania na zające i kuropatwy, a nawet rogacze na podjazd. Były polowania, na których w ciągu dwu dni padało i 265 zajęcy.

Z każdym rokiem stan zwierzyny poprawia się, zwłaszcza teraz, kiedy ze względów oszczędnościowych zaniechano polowań reprezentacyjnych, na których zwykle sięga się po rekordy... Natomiast przystąpiono do łowienia żywych zajęcy w sieci na sprzedaż dla celów hodowlanych, a wychwytuje się ich stosunkowo mniej, aniżeli było ich na rozkładzie w czasie polowań reprezentacyjnych.

Jakkolwiek teren jest tak mały, to jednak pod względem łowiecko-ochronnym nastręcza wiele kłopotów, bo otoczony jest ze wszech stron wsiami, w których kłusowników i wnykarzy nie brak, jak również włóczących się psów i kotów. Chcąc jednak zapobiec wszelkim nadużyciom natury kłusowniczej, tak ze strony ludności wiejskiej jak i dzierżawców polowań w gminach położonych w pobliżu Lasu Wolskiego, wydzierżawiono wokoło wszystkie grunta włościańskie i dobra Konwentu OO. Kamedułów na Bielanach, temsamem odgraniczając ten rezerwat zwierzęcy od obcych terenów łowieckich niejako pasem izolacyjnym, poza który rzadko tylko hodowana w łowisku zwierzyna wychodzi. Skutkiem takiego stanu rzeczy samoistny obwód łowiecki powiększył się o przeszło 1000 ha, co przyszło z niemałym sumptem, zważywszy, że gminy podmiejskie mają strasznie wygórowane czynsze za prawo polowania.

Ochrona zwierzyny łownej w Lesie Wolskim przeprowadzaną jest intensywnie, o czem świadczy następujące zestawienie zwierzyny szkodliwej, ustrzelonej w r. 1933 przez miejscową straż leśno-łowiecką a to: 8 lisów, 2 kuny-kamionki, 29 łasic, 31 psów, 86 kotów, 51 jastrzębiowatych (gołębiarzy, krogulców i kobuzów), 77 wron, 107 srok i 15 sojek. Natomiast w r. 1934 ustrzelono: 4 lisy, 2 kuny-kamionki, 38 łasic, 33 psy, 73 koty, 23 jastrzębiowatych, 32 wrony, 92 sroki i 17 sojek.

Ze zwierzyny łownej zaś w r. 1934/35, tj. w sezonie łowieckim ustrzelono i złowiono: 98 zajęcy, 6 królików dzikich, 26 kuropatw i 6 bażantów kogutów, a w sezonie łowieckim 1934/35 — 92 zające, 53 króliki dzikie, 41 kuropatw i 2 bażanty koguty.

Odświeżenie krwi u zajęcy w łowisku Lasu Wolskiego przeprowadzono ostatnio w r. 1932 i 1934 przez sprowadzenie kilkudziesięciu sztuk zajęczyc i gachów.

Powyższe zestawienia najlepiej ilustrują nam faktyczny stan gospodarki łowieckiej w Lesie Wolskim, która ulegnie jeszcze większemu zracjonalizowaniu z chwilą ukończenia prac około planu urządzeniowego dla Lasu Wolskiego. W planie tym kwestja łowiectwa i ochrony ptactwa śpiewająco-pożytecznego szczególnie jest braną pod uwagę i należy mieć nadzieję, że zagadnienia te będą rozwiązane należycie ku chlubie tej miniaturowej kniei.

Widać z tego, że wszelkie starania idą w tym kierunku, aby podnieść bardziej jeszcze piękno i urok tego podmiejskiego parku i wyczarować zeń wprost cuda na miarę europejską.

Jakkolwiek Las Wolski już teraz jest może najwięcej interesującem łowiskiem w okolicach Krakowa, to jednak zyska on jeszcze bardziej na wartości z chwilą ponownego zaprowadzenia do łowiska cietrzewi i jarząbków i stanie się prawdziwym rezerwoarem zwierzyny łownej dla całej okolicy.

Takie jest zbożne życzenie obecnego Zarządu Lasu Wolskiego, który więcej dla przyjemności ile dla korzyści pieczołowitą opieką otacza swój zwierzostan.

Na drodze do urzeczywistnienia tych wszystkich chlubnych zamiarów życzymy Zarządowi wszechstronnego i w całej pełni zasłużonego powodzena.

Bibljografja

DR. JERZY BŁESZYŃSKI

„PTAKI ZIEM POLSKICH“.

Ukazał się 5 zeszyt pracy dr. Jana B. Sokołowskiego pod powyższym tytułem. Bardzo interesujące i niezmiernie sumiennie, a jednocześnie dostępnie opracowane wydawnictwo. Należałoby się spodziewać, że znajdzie się w bibljoteczkach wszystkich tych myśliwych, których zainteresowanie przyrodą nie ogranicza się tylko do ilości upolowanej zwierzyny, zwłaszcza, że autor poświęca przy każdym ptaku, mogącym budzić jakiekolwiek łowieckie zaciekawienie, uwagi zaciekawieniom takim poświęcone.

Niezmiernie zajmujące są wywody autora odnoszące się do wędrówek ptactwa, oparte na nowoczesnych badaniach. Niektóre spostrzeżenia są nieoczekiwane, nawet dla czytelnika interesującego się nieco ornitologją. Np. wbrew utartemu powszechnie podziałowi ptaków na przelotne i o mniejwięcej stałem miejscu zamieszkania, wedle obecnych zapatrywań, opartych na spostrzeżeniach stacyj badaniom przelotów ptactwa poświęconym, do ptactwa przelotnego, a więc zmieniającego miejsce pobytu zależnie od pory roku na znacznych odległościach, należy zaliczać ogromną większość ptaków, które zwykliśmy uważać za stałych współmieszkańców naszego kraju.

Przy pomocy pracy dr. Sokołowskiego i to nawet przy pobieżnem tylko przeczytaniu, można orjentować się nieco w wielkiej rzeszy drobnego ptactwa, którego obecność stanowi przecież jedno z największych upiększeń naszych pól i lasów. Jak przeraźliwie pustym wydaje się las, omijany wiosną przez armję najmilszych śpiewaków, a jaką radość sprawia koncert ptasi na wiosennych polowaniach. A przecież nikt nie zaprzeczy, że przyjemniej jest choćby w przybliżeniu orjentować się, co to za mistrzowie tak bawią ucho i oko.

Wielkie uznanie należy się zarówno autorowi za pracę, jak również Lidze Ochrony Przyrody za wydawnictwo, nawiązujące łączność ze sławnemi pracami naszych wielkich ornitologów doby ubiegłej.



Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

(Dokończenie)

Zarząd postanowił (7 głosów za, 7 głosów przeciw; wobec równości głosów, rozstrzygnął p. Prezes gen. Sosnkowski, korzystając z przysługującego mu prawa) skreślić z listy Stowarzyszeń Związkowych, za niewypełnianie obowiązków statutowych:

1) Kółko Łowieckie Pracowników Instytutu w Puławach,

2) Łęczycki Powiatowy Związek Towarzystw i Kółek Łowieckich w Łęczycy,

3) Towarzystwo Łowieckie Powiatu Błońskiego w Grodzisku Mazowieckim.

W łączności z podniesionym przez p. inż. Skulskiego, na ostatniem posiedzeniu Zarządu Związku, zarzutem wadliwej gospodarki organizacyjnej Oddziałów, Wielkopolski Związek Myśliwych nadesłał pismo, zawierające replikę.

P. inż. Skulski oświadczył, że pismem tem czuje się obrażony. Zarzutu złej woli Wielkopolskiemu Związkowi Myśliwych p. inż. Skulski nie postawił; nieprawdą jest, iż „w bezprzykładny sposób zaatakował“ Wielkopolski Związek Myśliwych, nieprawdą jest również, jakoby przeprowadzał obliczenia wystrzelonych na terenie województwa poznańskiego ładunków. Natomiast prawdą jest, że występując przeciw zaleganiu przez Oddziały w opłacie składek na rzecz Związku i słysząc, iż ks. Czartoryski dla przedstawienia ciężkiej sytuacji finasowej myśliwych wielkopolskich i Wielkopolskiego Związku Myśliwych mówił jakoby składy amunicji w Poznaniu sprzedały zaledwie 10.000 ładunków, p. in. Skulski oświadczył, iż ładunków tych napewno sprzedano znacznie więcej. P. inż. Skulski czuje się dotknięty formą i mentorskim tonem pisma Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

P. Prezes gen. Sosnkowski stwierdził ex praesidio, iż ze strony p. inż. Skulskiego zarzut złej woli pod adresem Wielkopolskiego Związku Myśliwych nie padł. Zarząd Związku i jego Członkowie mają nietylko prawo, ale i obowiązek krytyki działalności organizacyj terytorjalnych, jako Oddziałów Związku. Taką krytyką Wielkopolski Związek Myśliwych nie może czuć się dotknięty.

P. Prezes gen. Sosnkowski zwrócił się do p. Unruga z prośbą, aby w imieniu Wielkopolskiego Związku Myśliwych wyjaśnienia te przyjął do wiadomości i spowodował wzamian nadesłanie pisma, któreby skorygowało twierdzenia, jakiemi czuje się dotknięty p. inż. Skulski.

P. gen. Fabrycy wobec nawału zajęć służbowych, złożył rezygnację z mandatu Przewodniczącego Związkowych Sekcyj: Ochrony Niedźwiedzia oraz Ochrony i Hodowli Jelenia. Rezygnację tę Zarząd z żalem przyjął do wiadomości.

Na przewodniczącego Sekcji Ochrony Niedźwiedzia Zarząd Związku desygnował p. profesora Józefa Gieysztora, na przewodniczącego Sekcji Ochrony i Hodowli Jelenia — p. inż. Hermana Knothego.

P. Skrzypek złożył rezygnację z mandatów: Członka Wydziału Wykonawczego, Skarbnika Związku oraz Przewodniczącego Komisji Propagandowej.

W wyniku ożywionej dyskusji, p. Skrzypek cofnął rezygnację z mandatu Przewodniczącego Komisji Propagandowej i oświadczył, że obowiązki Skarbnika pełnić będzie do Walnego Zgromadzenia.

Wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych, aby — w wypadku niemożności uczestniczenia w posiedzeniach Zarządu Centrali przedstawicieli tegoż Oddziału, będących członkami Zarządu Centrali — mógł brać udział w charakterze przedstawiciela któryś z członków Zarządu Oddziału, postanowiono przedstawić na Walnem Zgromadzeniu z propozycją wyboru zastępców przedstawicieli Oddziałów.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE
Z DOROCZNEGO OGÓLNEGO ZEBRANIA I PIERWSZEGO ZJAZDU DELEGATÓW ODDZIAŁU KRAKOWSKIEGO M. T. Ł.

w dniu 19 maja 1935.

Przed rozpoczęciem obrad Prezes Adam hr. Starzeński zakomunikował Walnemu Zebraniu, że na wieść o zgonie Marszałka Piłsudskiego udał się wraz z wiceprezesem dr. Lardemerem do Województwa Krakowskiego, gdzie na ręce Wojewody złożyli kondolencję imieniem Oddziału Krakowskiego M. T. Ł. a w dniu pogrzebu wziął w nim udział Prezes, reprezentując nasz Oddział Krakowski a zarazem jako wydelegowany oficjalny przedstawiciel M. T. Ł., przyłączywszy się do grupy Związku Ziemian i Towarzystw Rolniczych. Walne Zebranie w skupieniu wysłuchało sprawozdania tego stojąco a na znak hołdu i żałoby uczczono pamięć wielkiego Polaka, pierwszego Marszałka Polski, chwilą milczenia.

Następnie zagaił Prezes posiedzenie, witając w imieniu Wydziału obecnych Członków i Delegatów Oddziału Krakowskiego

i stwierdził liczniejszy niż po inne lata udział. W szczególności powitał rektora Prof. Dr. Juljana Nowaka wyrażając radość, iż tenże potrafił znaleźć czas wolny, by go poświęcić sprawom łowieckim. Dalej wspomniał tylko pobieżnie o finansach i innych sprawach Oddziału Krakowskiego, pozostawiając sekretarzowi p. Morawetzowi przedłożenie szczegółowego sprawozdania. Przy tej sposobności wśród żywych oklasków Ogólnego Zebrania podniósł zasługi i ideową wytrwałą pracę Sekretarza. Wreszcie poświęcił dłuższą chwilę przedstawieniu stosunku Oddziału Krakowskiego na zewnątrz, więc do władz wojewódzkich, do Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Centrali Lwowskiej i Ochrony Przyrody. W szczególności podniósł zasługi Ochrony Przyrody około opieki i rozwoju łowiectwa i podkreślił życzliwą współpracę delegata Ministerstwa Oświaty dla spraw Ochrony Przyrody Prof. Dr. Władysława Szafera. Pamięć zmarłych dwóch członków Oddziału naszego PP. del. Karola Brauna i inż. Alojzego Cyhana uczczono przez powstanie. Kończąc zagajenie, ogłosił Prezes otwarcie Ogólnego Zebrania połączonego ze Zjazdem Delegatów.

Przystąpiono do odczytania porządku dziennego, poczem po przyjęciu przez Walne Zebranie protokołu z poprzedniego Og. Zebrania bez odczytania, Sekretarz wygłosił dłuższe sprawozdanie za r. 1934, które w krótkiem streszczeniu tak się przedstawia:

„...Obok nieustającej i przy pomocy PP. Delegatów powiatowych z pożytkiem wykonywanej pracy naszego Oddziału na polu ideowo-łowieckiem, wysiłki Zarządu Oddziału w roku ubiegłym skierowane były także ze szczególną troskliwością w dziedzinie administracyjnej na trudne zadanie powiązania końca z końcem — tak, że tylko przy zastosowaniu najdalej idących redukcyj i ograniczeń w wydatkach przy małych naogół wpływach, udało się uniknąć powstawania dalszego niedoboru.

Przyjętych zostało w poczet członków Tow. 27 osób.

Zmarli: deleg. notar. Karol Braun, Wieliczka i dyr. inż. Alojzy Cyhan, Żywiec.

Mianowani zostali delegatami M. T. Ł. i Pol. Zw. Stow. Łow. inż. Karol Hülle, j. w., na powiat Tarnów i notar. Witold Michałowski w Bochni na powiat Bochnia.

Na wniosek naszego Oddziału, przedstawiony przez Małop. Tow. Łow., Polski Związek Stow. Łow. prolongował mandaty 30 Delegatów Związku na lata 1934—36 w Województwie krakowskiem. Niestety pozostała część Delegatów, zalegających od dłuższego czasu z opłatą wkładek, nie mogła być przy prolongacie uwzględnioną. Tym zaś Delegatom, którzy na skutek odezw naszych podjęli ponownie bieżącą opłatę wkładek z zamiarem uregulowania zaległości, legitymacje delegackie Związku dodatkowo wysłane zostały, względnie zostaną.

Wydział na posiedzeniu w dniu 20/XI 1934 uchwalił zaprosić b. premjera p. rektora dr. Juljana Nowaka do przystąpienia w skład naszego Wydziału. P. Rektor zaproszenie najchętniej przyjął, oświadczając gotowość do współpracy dla dobra łowiectwa naszego.

Otrzymał nadane przez Polski Związek Stow. Łow. najwyższe odznaczenie łowieckie „Złom" arcyks. Karol Habsburg w Żywcu.

Wniosek delegata na pow. Nowy Targ inż. Marcelego Marchlewskiego o odznaczenie przez Pol. Związek Stow. Łow. przodownika P. P. Marjana Jonca w Zakopanem bronzowym medalem zasługi Łowieckiej, Związek zatwierdził.

Zgodnie z uchwałą O. Zebrania z 13/V 1934 Oddział nasz odniósł się z przedstawieniem do Centrali M. T. Ł. o utrzymanie nadal, przy zniżonych wkładkach członkowskich, tego samego co poprzednio udziału Oddziału w wkładkach. Centrala Tow. zgodziła się na prolongatę tego udziału narazie po koniec roku 1934. W roku bież. zwróciliśmy się do Centrali Tow. z tych samych przyczyn z przedstawieniem o pozostawienie nadal tego samego administr. udziału Oddziału w wkładkach.

Przy usilnych staraniach o prawidłowe inkaso ilość zainkasowanych wkładek członkowskich dorównuje mniejwięcej takiej ilości z roku poprzedniego, Różnica w sumie pieniężnej na niekorzyść roku sprawozdawczego pochodzi głównie stąd, że wkładki w r. 1933 wynosiły po zł. 9 kwart., zaś w r. 1934 tylko po zł. 6.

Wydział rozpatrywał sprawę realizacji zaległych wkładek członkowskich i zarządził ponownie wezwania o niektóre należytości a z których nieznaczna część wpłynęła. W tej sprawie nastąpi jeszcze bliższe porozumienie z PP. Delegatami powiatowymi o współpomoc ich w realizowaniu zaległości.

Nadto podjął Wydział akcję propagandową o pozyskiwanie nowych członków dla Towarzystwa i postanowił do tej akcji zaprosić stale także PP. Delegatów powiatowych. W tym celu posłano już PP. Delegatom a przytem także PP. Członkom Oddziału formularze zgłoszeń przystąpienia do Towarzystwa — z prośbą o jednanie nowych członków wśród znajomych.

W sprawie wprowadzenia przez nas zawodów myśliwsko-strzeleckich postanowiono narazie postarać się o umożliwienie odbywania ćwiczebnych strzelań myśliwskich na strzelnicy w siedzibie Zarządu Oddziału, poczem dopiero z okazanego zainteresowania wnioskować będzie można o ewent. rozszerzeniu tej imprezy.

W grudniu 1934 odniosło się Województwo do naszego Oddziału o wydanie opinji co do ewent. rozszerzenia czasów ochronnych dla zajęcy-szaraków, kuropatw i przepiórek w obwodach powiatów Mielec, Dąbrowa, Tarnów, Brzesko, Bochnia, Myślenice i Wadowice, dotkniętych klęską powodzi. Po śpiesznem zebraniu bliższych informacji i zasięgnięciu opinji dotyczących delegatów łowieckich, przedłożyliśmy Województwu wyczerpującą opinję z wnioskami o jednolite rozszerzenie czasów ochronnych na całym terenie pomienionych powiatów.

Jednocześnie prosiliśmy Województwo, ażeby zaleciło Starostwom więcej oględne i z odpowiednią wskazówką wydawanie arszeniku na tępienie myszy polnych, ponieważ zbyt obfite i nieumiejętne używanie zatrutego zboża dla niszczenia myszy powoduje także zatruwanie kuropatw i bażantów.

Urząd Wojewódzki w Krakowie w kwietniu 1934 odniósł się do Ministerstwa Roln. i R. R. w sprawie zrzekania się przez dzierżawców prawa polowania na wspólnych obwodach łowieckich przed upływem 6-letniego terminu umów dzierżawnych. Wskutek zażądania przez Ministerstwo opinji Pol. Związku Stow. Łow. i zgodnie z decyzją Zarządu Związku, członek tegoż Zarządu — wiceprezes naszego Oddziału Dr. Adam Lardemer opracował w tej sprawie projekt pisma Związku do Ministerstwa Roln. i R. R.

Rachunkowa część sprawozdania za r. 1934 przedstawia się następująco:

P r z y c h ó d: Pozostałość kasowa, jako rezerwa należytości Centrali Tow. za r. 1933 zł. 511.82, wpisowe zł. 16.—, wkładki członków zł. 2.801.—, wpłaty na odznaki łow. zł. 27.—, odsetki w P. K. O. zł. 17.47, zwroty porta zł. 18.05 i składki dla Ligi Ochr. Przyr. zł. 26.90 — razem zł. 3.418.24.

R o z c h ó d: Należytość Centrali Tow. za r. 1933 (reszta) zł. 687.—, zaliczka na poczet należytości Centrali Tow. na r. 1934 zł. 900.—, prowadzenie i potrzeby biura zł. 1.209.75, druki i powielanie zł. 37.90, porto zł. 109.45, prowizja P. K. O. i inkasowa zł. 61.43, prenumerata pism i różne zł. 66.—, należytość Ligi Ochr. Przyr. zł. 26.90, pozostałość kasowa, jako rezerwa na pokrycie reszty należytości Centrali Tow. za r. 1934 zł. 319.81 — razem zł. 3.418.24. (NB. Należytość Centrali wynosi zł. 341.60, na to rezerwa zł. 319.81 — niedobór zł. 21.79 do przeniesienia na rok następny).

W ubiegłym roku odbyły się 3 posiedzenia Wydziału i 1 Ogólne Zebranie członków. Dziennik pism wchodzących i wychodzących z Oddziału wykazuje liczkę porz. 660.

Komisja Rewizyjna postawiła wniosek na udzielenie absolutorjum, co Walne Zgromadzenie uchwaliło przyjmując zarazem roczne sprawozdanie do wiadomości, a Prezes podziękował Panom z Komisji Rewizyjnej za pomoc i współpracę.

Teraz Prezes zawiadomił Walne Zebranie, że Prezes M. T. Ł. Juljusz hr. Bielski, który jest zarazem w Międzynarodowej Radzie Łowieckiej wiceprezesem jako przedstawiciel łowiectwa w Polsce, otrzymał francuski krzyż oficerski Legji honorowej. Wiceprezes Dr. Lardemer w słowach gorących podniósł życzliwą troskliwość, jaką otacza hr. Bielski nasz Oddział Krakowski i wśród hucznych oklasków uchwaliło Walne Zebranie wysłanie do Prezesa Bielskiego depeszy gratulacyjnej.

Według punktu 5 porządku dziennego przystąpiono do wyborów. Wskutek upływu kadencji mandatów i zatwierdzenia przez Walne Zebranie kooptacji Wydziału z ubiegłego roku, wybrani zostali ponownie przez aklamację: Prezesem Adam hr. Starzeński, wiceprezesem dr. Adam Lardemer, członkami Wydziału: pułk. dr. Bolesław Korolewicz, prof. dr. Juljan Nowak (koopt.), star.

Stefan Różecki, członkami Komisji Rewizyjnej dr. Mieczysław Górka i dyr. Zygmunt Józefczyk.

W nawiązaniu do sprawy Zjazdu Delegatów, przedstawił Sekretarz konieczność i możliwość przyjścia ze strony PP. Delegatów z pomocą Oddziałowi w jego trudnem położeniu kryzysowem. Mianowicie pomoc ta pożądaną jest głównie w 3 kierunkach:

1) w rejonowem zorganizowaniu się PP. Delegatów w poszczególnych powiatach z wyborem senjorów, w myśl regulaminu delegackiego, celem owocniejszej opieki nad sprawami łowiectwa w ogólności, — 2) w rozwijaniu w takich okręgach życzliwej propagandy w jednaniu nowych członków dla Małopolskiego Towarzystwa łowieckiego, — i 3) w wpływaniu na byłych i ewent. dłużnych jeszcze Towarzystwu członków i delegatów o odnowienie stosunku członkowskiego względnie delegackiego i w miarę możności o doraźne lub ratalne wyrównanie przez dłużników zaległych jeszcze wkładek członkowskich.

Ad pkt. 1) podanem zostanie do wiadomości PP. Delegatów, którzy członkowie Oddziału w powiatach piastują teraz mandaty delegackie, — ad pkt. 2) przesłano już wszystkim Delegatom i Członkom Oddziału odezwy, z formularzami zgłoszeń przystąpienia do Towarzystwa, nadto przesłane jeszcze zostaną PP. Delegatom osobne notatki, kto w ich powięcie jest obecnie członkiem naszego Oddziału a kto skreślonym już został z listy członków i delegatów, — oraz od pkt. 3) kto z byłych członków i delegatów i z jaką kwotą zalega jeszcze z wyrównaniem należnych nam wkładek.

Powyższe przedstawienie koniecznej potrzeby i sposobów przyjścia z pomocą Oddziałowi zaaprobował Zjazd Delegatów w zupełności.

Kraków, dnia 28 maja 1935 r.

Za Wydział Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie:

Sekretarz — Prezes

Stanisław Morawetz — Adam Starzeński

Rzeszów, dnia 25 maja 1935.

PROTOKÓŁ

spisany przy sposobności posiedzenia Pawiatowej Rady Łowieckiej w dniu 25 maja 1935 r.

Przewodniczący p. Jan Jędrzejowicz, obecni pp.: Mieczysław Panglisz starosta, Witołd Nowakowski komendant policji państw., Joachim Jarochowski, Antoni Łastowiecki, mjr. Michał Ordyniec i delegaci powiatowi: Stefan hr. Dąmbski, Dr. Adam Midowicz, Stanisław Korwin Milewski i Władysław Gürtler.

Porządek obrad następujący:

1) Zagajenie, 2) referat dyskusyjny na temat stosunków łowieckich w powiecie, 3) wybór senjora delegatów, 4)podział powiatu między delegatów i 5) wolne wnioski.

Przewodniczy p. Jędrzejowicz, zagaja obrady i wita serdecznie pp.: starostę Panglisza, jako szefa władzy administracyjnej, komisarza Witołda Nowakowskiego jako komendanta policji, Joachima Jarochowskiego, Antoniego Łastowieckiego i mjra Michała Ordyńca jako wybitnych myśliwych i przedstawicieli elity myśliwskiej, tudzież Stefana hr. Dąmbskiego, jako nowo mianowanego delegata.

Przed porządkiem dziennym zabiera głos delegat p. Stanisław Milewski i oddaje cześć pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego, wielkiego obywatela i budowniczego Polski. Stawia wniosek, ażeby pp. delegaci zakupili uroczystą mszę św. żałobną w kościele parafjalnym w Zabierzowie, którą przed ołtarzem św. Huberta odprawi w krótkim czasie w obecności nas wszystkich miejscowy Ks. proboszcz.

Stojąc i w głębokiem skupieniu wysłuchali obecni żałobnego przemówienia.

Po referacie łowieckim wygłoszonym przez prof. Gürtlera, w którym mowca poruszył najważniejsze postulaty i omówił różne bolączki łowieckie, jak panoszące się kłusownictwo i wnykarstwo, jak nielegalne posiadanie przez ludność wiejską broni palnej, jak nadmierne występowanie coraz to innych, nowych myśliwych, łączących się ze sobą w spółki eksploatacyjne w celu wybijania zwierzyny i t. d., zabrał głos p. starosta Panglisz i zapewnił obecnych, że użyje wszystkich do dyspozycji mu służących sposobów, by ujawnione kłusownictwo z bronią palną i wnykarstwo ukrócić i wytępić, indywiduom zaś podejrzanym o metody kłusownicze, odmawiać wydawania kart łowieckich, a delegatom łowieckim użyczać swego pełnego poparcia i korzystać z ich współpracy opartej na doświadczeniu i znajomości stosunków łowieckich w powiecie.

O takiej samej gotowości do zwalczania wszystkich objawów przestępczości łowieckiej, gdziekolwiekby się ona pokazała, przy pomocy organów policyjnych, zapewnił zgromadzonych i p. komisarz Nowakowski.

P. Dąmbski porusza sprawę odnowienia kaplicy św. Huberta w Miłocinie. Cenna ta pamiątka myśliwska z dawnych czasów, która z powodu obojętności społeczeństwa łowieckiego chyli się ku pełnej ruinie.

P. Jędrzejowicz stwierdza, że orzecznictwo karne w sprawach łowieckich w niektórych sądach grodzkich np. w Głogowie, jest jeszcze zbyt łagodne i że nawet kłusownicy, już zasądzeni na karę aresztu, stąpają na wolności z powodu swej nieuchwytności.

P. Łastowiecki zaznacza, że są jeszcze w najbliższej okolicy jego stałego zamieszkania, w Hadlach Szklarskich obwody łowieckie wspólne, dotychczas niezarejestrowane i że odnośne spółki łowieckie, czy gminy nie posiadają map sytuacyjnych, wskutek czego w licznych odosobnionych enklawach panuje stan ex lex pod względem łowieckim i że polują w nich bezkarnie kłosownicy, co względem łowieckim i że polują w nich bezkarnie kłusownicy, co wieckiej wszystkich solidnych dzierżawców i właścicieli łowisk. Sprawy te już jednak p. Łastowiecki starostwu przedstawił i żywi nadzieję, że ją ono załatwi pomyślnie.

Z porządku dziennego nastąpił wybór senjora. Na wniosek p. Dr. Midowicza wybrano jednomyślnie senjorem p. delegata Jana Jędrzejowicza, który też wybór przyjął.

Następnie rozdzielono powiat w celu skuteczniejszej opieki nad łowiectwem i wszelkiemi jego agendami pomiędzy delegatów w sposób następujący:

Gminę zbiorową obejmują:

Trzebownisko p. Jan Jędrzejowicz, Słocinę i Rzeszów p. Dr. Adam Midowicz, Głogów p. Stanisław Milewski, Tyczyn i Racławówkę p. Władysław Gürtler, Świlczę p. Stefan Dąmbski, Czudec i Strzyżów p. Joachim Jarochowski, Hyżne i Błażową p. Antoni Łastowiecki.

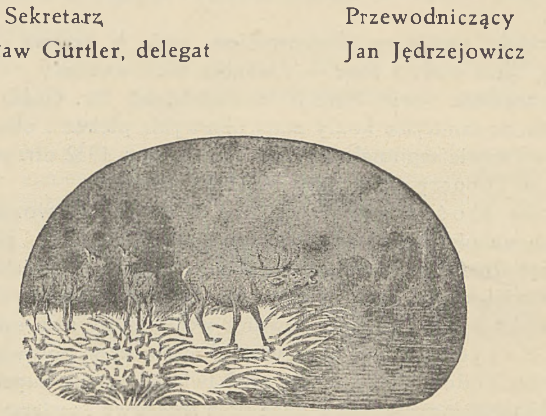
Podział ten uchwalono przedłożyć Starostwu powiatowemu z prośbą o wydanie potrzebnych zarządzeń do wszystkich urzędów miejskich i gminnych i posterunków policji państwowej.

P. Dr. Midowicz prosi Przewodniczącego o poddanie pod głosowanie wniosku p. Milewskiego. Uchwalono jednomyślnie z tem, że wnioskodawca omówi z ks. proboszczem w Zabierzowie dzień i godzinę dla odprawienia żałobnej uroczystości i że wygotuje odpowiednie zaproszenia.

P. Dr. Midowicz stawia wniosek, ażeby zaproponować Wydziałowi Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie zamianowanie jeszcze dwóch delegatów a to z powodów geograficznych w osobach pp.: Joachima Jarochowskiego i Antoniego Łastowieckiego. Uchwalono.

Sekretarz — Przewodniczący

Władysław Gürtler, delegat — Jan Jędrzejowicz



SPRAWOZDANIE DELEGATÓW

POWIATU ZŁOCZOWSKIEGO, WOJEW. TARNOPOLSKIE za rok 1934/35.

Ryków, maj 1935.

Rola delegatów powiatowych jest o tyle trudna, że zrozumienia dla łowiectwa w prawdziwem tego słowa znaczeniu jeszcze u nas nie ma; wyjątek stanowią niektóre jednostki a głównie zrzeszenia. Pozatem przeważna część właścicieli łowisk a głównie dzierżawców wsp. obwodów łowieckich nie poczuwa się zupełnie do obowiązku podania delegatom powiatowym, choćby kartką korespondencyjną ilości odbytych polowań i ubitej zwierzyny — mimo, że delegaci specjalnemi listami prosili o poinformowanie ich o stosunkach w danych rewirach. Jest to dowodem (pomijając brak wychowania) także braku zrozumienia dla faktu, że czasy, w których rola właściciela lub dzierżawcy polowania ograniczała się do dostarczania zwierzyny „na stół" względnie była przygodną zabawką — skończyła się bezpowrotnie.

We wielu wypadkach ukrywa się pod maską milczenia niechęć uznania autorytetu delegatów powiatowych i upatrywanie w nich rodzaju kontroli.

Zwykle zaś tkwi głęboka indolencja i zupełna nieświadomość torów, na które w ostatnich kilku latach w całym cywilizowanym świecie — a także i u nas łowiectwo wstąpiło.

Niestety jeszcze dużo czasu upłynie, nim zrozumienie dla łowiectwa wedle pojęć cywilizowanego Zachodu wniknie w szerokie masy myśliwych. Obecnie przeważają jeszcze „strzelacze dla mięsa".

Spodziewamy się, że po wyjściu noweli do „Prawa Łowieckiego", wedle projektu Polsk. Zw. Stow. Łow. także i na tym punkcie zwrot ku lepszemu nastąpi.

A teraz przechodzimy na właściwy temat t. j. do samego sprawozdania.

a) Fauna powiatu złoczowskiego.

1. Dziki. Rewirów dziczych nie mamy wiele. Główne siedlisko dzików w naszym powiecie, to knieja Podhorce Ks. Romana Sanguszki; są tam stałe dziki i to w dużej ilości. Duży kompleks zwartych lasów sprzyja rozwojowi tego szlachetnego zwierza a także opieka ze strony Zarządu Dóbr.

Następnie wymienić należy klucz Kołtów (wł. hr. Wojciech Gołuchowski), graniczący z jednej strony z Podhorcami a z drugiej ze sławną knieją Pieniaki, gdzie dziki także specjalnie dobrze są traktowane. Bliższe szczegóły nie są nam jednak znane.

Również mamy dziki w rewirach Gołogów, gdzie teren należący do O. O. Dominikanów, wydzierżawiony został przez P. T. Łow. w Złoczowie przed dwoma laty; od tego czasu ustało tam rabunkowe gospodarstwo łowieckie, gdzie do tego roku kwitło kłusownictwo w niebywały wprost sposób.

Zresztą na terenie powiatu złoczowskiego są tylko przechodne dziki, chociaż duże kompleksy lasów, jakie posiadają np. gminy Trościaniec, Ryków i Snowicz sprzyjałyby ich rozwojowi. Niestety lasy te, rozparcelowane na kilkumorgowe działki, w których o każdej porze dnia i nocy tłucze się kmiotek, nie dają tej szlachetnej zwierzynie należytego spokoju.

2. Sarny. Teren powiatu złoczowskiego przedstawia dla sarn bardzo korzystne warunki; każdy rewir tutejszy, w którym zwierzyna ta doznaje choćby miernej opieki, ma wcale ładny ich stan.

Parostki sarnie w złoczowskiem mają b. piękną, rozłożystą formę, duże perły i róże — i wogóle duże wymiary.

Szczególnie rewir Pobocz (właściciel Dr. Gold) odznacza się tem, że tamtejsze kozły mają niezwykle piękne i okazałe rożki, a na wystawie regjonalnej w Tarnopolu w r. 1932 otrzymał kozioł ubity w Poboczy przez mjra M. złoty medal.

Co się ilości sarn tyczy, to, o ile ze sprawozdań wnosić można, na pierwsze miejsce wysuwa się Kutkorz, gdzie cieszą się specjalnie korzystnemi warunkami i opieką właściciela Jerzego hr. Wodzickiego. Inne rewiry, jak Strutyn, Ryków, Zakamarze, Humniska i Poczapy mają również wcale ładny stan sarn.

3. Zające. Mimo, że powiat złoczowski w połowie na t. zw. „zimnem Podolu" leży, które pozbawione prawie zupełnie lasów, przedstawia w zimie jedno duże pole śniegowe i zwierzyna drobna ma b. trudne warunki egzystencji, to jednak stan zajęcy można uważać za dobry. Wnioskując z nielicznych sprawozdań, można śmiało przyjąć, że w ubiegłym sezonie padło w powiecie naszym zwyż 2.500 sztuk zajęcy, nie wliczając w to nieszczęsnych ofiar wnyków.

4. Lisy. Tych mamy obecnie b. wiele; parszywe nie trafiają się już wcale od szeregu lat. Rzekomo jako szkodniki łowiectwa tak okrzyczane, stanowią one mimo to bardzo piękną ozdobę zimowych pokotów. Padło ich w powiecie ponad 87 sztuk.

5. Bażanty. O ile ze sprawozdań i informacyj wnosić można, mamy chwilowo tylko trzy łowiska, gdzie się tego na ogół niewdzięcznego a tak pięknego ptaka hoduje, a to: Stronibaby p. Józefa Obertyńskiego, Kutkorz Jerzego hr. Wodzickiego i Pietrycze, p. Settelowej. Piszemy umyślnie „niewdzięcznego ptaka, bo mimo ogromnych wysiłków i kosztów, specjalnie w łowisku Kutkorz, trudno tam bażanty utrzymać; rozlatują się po sąsiednich rewirach, mimo, że właściciel łowiska rok rocznie sprowadza ze Śląska po kilkanaście kur i wychowuje z jaj po kilkadziesiąt młodych.

Mimo to zdecydowało się Polsk. Tow. Łow. w Złoczowie zaprowadzić u siebie półdziką hodowlę bażantów, a to w obwodzie łow. Poczapy—Chilczyce. Oby św. Hubert temu poczynaniu zechciał pobłogosławić.

6. Kuropatwy. Na ogół należy, co się kuropatw tyczy, powiat złoczowski podzielić na dwie strefy, a to: „zimne Podole" (połudn.-wschodni płaskowyż podolski, około 350—420 m ponad poziom morza), i północno-zachodn. część (dorzecze Olszanicy, Bełzca i Bugu, około 230 m ponad p. m.).

O ile w pierwszej z powodu b. trudnych warunków klimatycznych nawet przy największych wysiłkach niepodobnem jest ponad kilka stadek się dochować — o tyle w dolinie położona północ.-zach. część powiatu obfituje w dość pokaźną ilość tego tak miłego ptactwa.

7. Kaczki, ptactwo błotne i wodne. Głównie w dorzeczu Olszanicy, Złoczówki, Bełzca i Bugu, także na stawach w Gołogórach, Remizowcach i Łuce — dalej na bagnach w Poczapach, Kniażem, Humniskach, Sassowie i Kołtowie (leśne stawki), ale na ogół w miernej ilości. Zwiększenie się stawów rybnych spowodowało większy nalot różnych gatunków czapli.

8. Cietrzewie. Szlachetnego tego ptaka spotykamy u nas tylko w półn.-zach. części powiatu a mianowicie w rewirach Zakomarze—Humniska*)—Bołożynów, gdzie bagniste i zalesione regjony dają im korzystne warunki istnienia; ilość cietrzewi jest na ogół skromna.

9. Słonki. Na ogół tak ciąg wiosenny, jak i nalot jesienny jest obfity, głównie w północno-zach. części powiatu; najlepsze ciągi są w Humniskach i Zakomarzu.

10. Przepiórki i chruściele. Do r. 1934 były tak rzadkie, że w ciągu całego sezonu tj. września, ubijałem z b. dobrym psem 6—8 sztuk. Dopiero w r. 1934 skonstantowałem niebywały nalot, przypominający moje studenckie lata; także w innych łowiskach naszego powiatu ogólnem jest stwierdzenie tego faktu. Czemu to przypisać? Chyba dobroczynnemu wpływowi Międzynarod. Rady Łowieckiej, która zdołała we wszystkich południowych krajach (głównie Włochy, Grecja, Egipt) przeprowadzić bezwzględny zakaz tego barbarzyńskiego niszczenia przepiórek, jakie dotąd miało tam miejsce.

b) Stosunki łowieckie w złoczowskiem.

Myśliwych w pow. złoczowskim możnaby podzielić na trzy grupy:

Pierwsza grupa — to właściciele własnych obwodów łowieckich i wynajętych sąsiednich gminnych wspólnych obwodów, którzy będąc istotnie i prawdziwie w łowiectwie od dziadów i pradziadów rozmiłowani — prowadzą wzorową gospodarkę łowiecką, wyznając zasadę: „najpierw hodować — potem polować".

Nie szczędzą oni ani kosztów na dokarmianie zwierzyny, płacą hojnie „strzałowe" za ubite wałęsające się psy i koty, sroki, wrony, jastrzębie i t. p., i dla nich nigdy nie szkoda naboju, gdy się rozchodzi o unieszkodliwienie drapieżnika.

---

*) Humniska leżą na terenie pow. Kamionka Strumiłowa, wynajęte przez Pol. Tow. Łow. w Złoczowie.

Do takich należy w pierwszej linji K u t k o r z. W sezonie 1934/35 odbyto tam wszystkiego dwa gremjalne polowania (4—5 strzelb), rogacze strzela się tam naturalnie wyłącznie tylko na podchodnem, ale najlepiej scharakteryzuje stosunki łowieckie porównanie ilości ubitej użytkowej zwierzyny z ilością drapieżników.

I tak padło tam: 7 rogaczy, 100 zajęcy, 33 kuropatw, 35 bażantów, 47 kaczek, 16 słonek, 14 kszyków, 2 dubelty, 10 gołębi i 4 przepiórki.

Z drapieżników: 21 lisów, 1 wydra, 3 tchórze, 20 łasic, 22 psów włóczęgów, 21 kotów, 2 orły, 44 (!) jastrzębie-gołębiarze, 15 wron, 16 srok, 109 sójek.

Porównując te dwa zestawienia, widzi się, jak wielką opieką otacza zwierzynę właściciel, bo ubicie w jednym sezonie 44 gołębiarzy należy uważać za zaszczytny rekord w swoim rodzaju, za który może właściciel być istotnie dumny.

Na najbliższem miejscu trzeba postawić rewiry S t r o n i b a b y i U c i s z k ó w (wł. p. Józef Obertyński), gdzie odbyły się 3 gremjalne polowania w kilkanaście strzelb, a ogół pokotu przedstawia się jak następuje:

9 rogaczy, 11 lisów, 304 zające, 5 słonek, 138 bażantów; pozatem ubito kilkanaście sztuk kuropatw; tych ostatnich było tego roku mniej, niż zwykle, mimo, że 80 sztuk przetrzymano przez zimę 1933/34 w kurniku. Zato hodowla bażantów cieszy się sukcesem, bo ostatecznie pokot 138 bażantów w naszym, pod względem łowiectwa na ogół ubogim powiecie, należy uważać za b. piękny.

Dalej wymienić muszę klucz P o d h o r c e, gdzie jest pepiniera dzików i b. dużo sarn. Bliższych szczegółów z odbytych polowań w sezonie 1934/35 nie znam, ale wiem, że za szkody, wyrządzone przez dziki płaci skarb podhorzecki b. duże sumy a na zbyt duży stan sarn narzekają leśnicy, bo im ogryzają młode świerki.

Również rewiry, stanowiące w ł a s n o ś ć S. S. O p a t r z n o ś c i (Z a l e s i e), Lackie Mł., N o w o s i ó ł k i, J a s i o n o w c e) wykazują b. ładny stan zwierzyny, co nie dziwi, biorąc pod uwagę, że zarząd ich spoczywa w ręku tak zamiłowanego myśliwego, jakim jest p. dyrektor Kazimierz Ożga.

To byłyby obwody łowieckie, w których gospodarka łowiecka stoi na stosunkowo wysokim stopniu.

Przechodzę do d r u g i e j g r u p y m y ś l i w y c h, z r z e s z o n y c h w zalegalizowane s t o w a r z y s z e n i a m y ś l i w s k i e.

Na pierwszem miejscu należy wymienić P o l s k. T o w. Ł o w i e c k i e w Z ł o c z o w i e, założone w r. 1888, istnieje więc 47 lat. Przed dwoma laty dzięki nadzwyczajnie ofiarnej pracy kilku członków tego zrzeszenia, w szczególności panów: mgra R. H., prof. K. L., i sekr. J. B., udało się temu zrzeszeniu wynająć 26.000 ha (t. j. ¼ całego powiatu) i w ten sposób wydrzeć z rąk rozmaitych „spółek" chłopskich tereny, na których w ubiegłem sześcioleciu (1926—1932) uprawiano najbardziej rabunkową gospodarkę łowiecką, jaką sobie tylko wyobrazić można. Zwykle wynajmował gminne polowanie albo przewodniczący „spółki łowieckiej", albo jakiś jego kum lub krewny, (często setki a nawet tysiące morgów za kilka zł.) i zgłaszał do Starostwa całą zgraję notorycznych kłusowników jako „zaprzysiężonych dozorców" polowania, by tym trikiem wydostać dla nich pozwolenie na broń; przy ówczesnych sejmowładczo-piastowskich rządach (wiosna 1926), nawet najlepszemi chęciami dla łowiectwa ożywiony starosta był zupełnie bezbronny i musiał nolens-volens pozwolenia na broń wydawać.

Wtedy dopiero rozpoczynało się „pilnowane" polowanie o każdej porze roku, dnia i nocy, aż ostatni zajęczyna i ostatnia koza pod siekańcem „zaprzysiężonych dozorców" ducha wyzionęła!

Na szczęście nowe Prawo Łowieckie położyło definitywnie kres tej wstrętnej gospodarce.

P. T. Łow. w Złoczowie uważało za swój obowiązek, jak największą ilość tych na czysto ze zwierzyny ogołoconych terenów wynająć, aby je na przyszłość zabezpieczyć przed chłopem-kłusownikiem, tym największym wrogiem każdego żywego stworzenia. Udało się istotnie zawrzeć kontrakty dzierżawne, przeważnie na 12 lat, który to czasokres pozwoli na rozwój racjonalnej gospodarki łowieckiej i jest pełna nadzieja, że na wielu obecnie zupełnych pustkowiach, po kilku latach hodowli i ochrony, będzie można ze skutkiem zapolować.

Owoce tej ofiarnej pracy są już teraz widoczne, albowiem na terenach wydzierżawionych przez to zrzeszenie, na 18 gremjalnych polowaniach (w 6—18 strzelb), i w pojedynkę na ptactwo, ubito:

Zwierzyny użytkowej: 7 dzików, 15 rogaczów, 1.175 zajęcy, 5 cietrzewi, 66 kuropatw, 31 przepiórek, 6 chruścieli, 76 kaczek, 25 kszyków i dubeltów, 6 słonek. Drapieżników: 20 lisów, 24 psów, 41 kotów, 18 jastrzębi. Razem 1.515 sztuk. Uwaga: Na po-

KONKURS FOTOGRAFICZNY „ŁOWCA POLSKIEGO"

„ŁOWIEC POLSKI" (Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy Świat 35) Organ Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, ogłasza

Konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia myśliwskie

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 31 października b. r. Jury konkursowe stanowią członkowie Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego".

Wydział Wykonawczy Związku przeznaczył na nagrody: I. — 150 zł.; II. — 100 zł.; III. — 50 zł., IV. — prenumeratę roczną „Łowca Polskiego" (trzykrotnie) i V. — prenumeratę półroczną „Łowca Polskiego" (trzykrotnie).

Prócz powyższych nagród pieniężnych, wybitne, artystyczne zdjęcia będą odznaczane żetonami: złotemi, srebrnemi i bronzowemi w ilości z góry nieograniczonej — według uznania jury.

Dla otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej odbitki w druku, konieczną jest ostrość zdjęcia, eksponowanego właściwie i odbitego na papierze hromosrebrnym, świecącym. Najbardziej pożądany jest czarny kolor odbitki.

Na zdjęciach (odbitkach), nadsyłanych na konkurs, należy podawać tytuł obrazu, nazwę miejscowości i powiatu, markę aparatu, użytego do zdjęcia oraz godło konkursowe autora.

Nazwisko i adres, wypisane czytelnie, należy przesłać w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej nazewnątrz tem samem godłem, co wszystkie nadesłane na konkurs fotografje.

łowaniach gremjalnych opolowano zaledwie ¼ wynajętego terenu.

W wykazie powyższym wpada w oczy mała ilość ubitych kuropatw. Tłumaczy się to tem, że celem rozmnożenia ich ograniczony był ich odstrzał do 15 sztuk w sezonie na członka; wielu zaś członków zupełnie nie wykorzystalo go, chcąc się przyczynić w ten sposób do rozmnożenia tego ptactwa.

Następne zrzeszenie, bez porównania mniejsze, niż P. T. Ł. w Złoczowie, jest „Kółko Myśliwskie w Olesku“, które dzierżawi tereny gmin: Podlesie, Juśkowice, Olesko i Czyszki, razem: 5.413 ha.

Na 6-ciu gremjalnych polowaniach, każde w kilka strzelb, ubito: 3 lisy i 108 zajęcy. Nie jest to wiele, ale trzeba wziąć pod uwagę, że to stowarzyszenie z powodu „złych sąsiadów“, polujących „na mięso“, ma bardzo trudne warunki. Temu przypisać należy, że mimo opieki, stan sarn nie może się poprawić. Stan kuropatw podniósł się w ostatnich latach, a widoki na zające w sezonie 1935/36 są bardzo dobre.

Zrzeszenie myśliwych Niemców-kolonistów w Bronisławówce „Jagdgesellschaft in Bronisławówka“ dzierżawi tylko obwód wspólny tej miejscowości, nie daje jednak żadnego życia, a wymieniam je tylko dla porządku, ponieważ jako takie jest w Starostwie zarejestrowane. Zdaje się, że gospodarka łowiecka stoi tam na odpowiednim poziomie.

O ile z nielicznych sprawzdań można wnosić, przedstawia się w powiecie złoczowskim pokot sezonu 1934/35 jak następuje:

Zwierzyna użytkowa: 7 dzików, 42 rogaczy, 2.555 zajęcy, 179 bażantów, 138 kuropatw, 50 przepiórek, 11 chruścieli, 131 kaczek, 27 kszyków i dubeltów, 27 słonek, 6 cietrzewi, 16 kulików, 10 gołębi, 1 paszkot. Razem: 3.200 sztuk. Drapieżniki: 87 lisów, 1 borsuk, 1 wydra, 3 tchórze, 49 psów, 65 kotów, 3 orły, 68 jastrzębi, 1 czapla, 3 kruki, 31 wron, 46 srok. Razem: 378 sztuk.

To byłaby, że tak powiem, jasna karta łowiectwa naszego powiatu.

Przechodzę teraz do trzeciej grupy, która stanowi ciemną w całem tego słowa znaczeniu jego kartę, a mianowicie grupę łowisk częściowo własnych obwodów, częściowo wynajętych wspólnych obwodów, o różnych wielkościach i różnych walorach myśliwskich, znajdujących się w niewłaściwych rękach ludzi, posiadających wprawdzie kartę na broń i kartę łowiecką, którzy jednak żadną miarą na zaszczytne miano „myśliwych“ nie zasługują.

Sytuacja łowiecka przedstawia się tam zwykle tak, że jakiś fagas dworski ma obowiązek dostarczania zwierzyny „na stół“; można sobie łatwo wyobrazić, jak tam z przestrzeganiem czasu ochrony sprawa stoi, a przedewszystkiem, ile zwierzyny idzie tam „na boki“.

Również fatalne stosunki panują tam, gdzie w porozumieniu ze „spółką łowiecką“ jakiś wiejski dygnitarz dostanie (zwykle za jakiś „mohorycz“) gminne polowanie; nie mając zwykle ani środków, ani ochoty dbać i ochraniać zwierzynę, nie utrzymuje on żadnej straży łowieckiej, żałuje naboju na odstrzał kundla i kota włóczącego się po polu i lesie, a nawet w najsroższą zimę nie wyniesie wiązki koniczyny sarnom. Czasem rolę „dozorcy polowania“ sprawuje (naturalnie gratis) największy kłusownik z całej wsi, który w naturaljach, (mięso sarn i zajęcy, skórki lisie, smalec borsuczy), szuka odszkodowania za swoje „trudy“.

Osobnym typem jest pan, mieszkający w mieście a dzierżawiący jakiś wspólny obwód myśliwski, by móc kilka razy do roku pójść „na deptaka“; taki również nie utrzymuje żadnej straży łowieckiej a rewir jest eldoradem dla miejscowych kłusowników.

Wszystkie te tu naszkicowane typy znajdujemy niestety w dość licznych okazach w naszym powiecie; kopjowałem je z natury.

To są ci t. zw. „źli“, a właściwie najgorsi sąsiedzi, bo na co zda się wszelki wysiłek w kierunku hodowli i pomnażania zwierzyny, jeśli wszystko, co przez granicę przejdzie, pada od siekańca i loftek czatującego na granicy chłopa-kłusownika.

Na to jednak nie ma chwilowo żadnej rady aż do ukazania się tak z utęsknieniem oczekiwanej noweli do Prawa Łowieckiego, która między innemi nada delegatowi P. Zw. St. Łow. pewne oficjalne uprawnienia, względnie przez stworzenie powiatowej rady łowieckiej powoła do życia organ, który będzie mógł czuwać nad stosunkami łowieckiemi danego powiatu i usuwać szkodliwe dla łowiectwa jednostki, ingerując przy nadawaniu kart łowieckich, stawiając wnioski na rozwiązywanie kontraktów dzierżawy polowania tam, gdzie ponad wszelką wątpliwość prowadzi się szkodliwą gospodarkę łowiecką.

Smutno przedstawia się w powiecie naszym sprawa zrzeszania się myśliwych, względnie kwestja należenia czy to do M. T. Ł., czy też wprost do P. Zw. St. Łow.

O ile z przysłanego nam z M. T. Ł. pisma wnosić można, są w powiecie złoczowskim członkami tego małopolskiego towarzystwa: członkowie P. S. Łow. w Złoczowie (en bloc) i około 5-ciu innych myśliwych. Czyżby istotnie te dwa zł. miesięcznie taką rolę grały?

Św. Hubertowi cześć!

Walery Maryański, generał W. P. w st. sp.
i Kazimierz Leszczycki, prof. gimnazjalny
jako delegaci M. T. Ł. na powiat Złoczów.

Komunikat Sekcji Strzeleckiej M. T. Ł.

Zawiadamiamy, że legitymacje dla członków, którzy zgłosili przystąpienie do Sekcji Strzeleckiej M. T. Ł. a zatem i do Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego, są do odebrania w biurze M. T. Ł.

Z przyczyn od Redakcji niezależnych, Sprawozdanie z przebiegu obrad Zjazdu M. T. Ł. umieszczone będzie dopiero w numerze sierpniowym.

TREŚĆ NUMERU 9:

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 204-32.